

GŁOSY PODOLAN



ISSN 1507-9996

Nr 164

STYCZEŃ-MARZEC

2024



KWARTALNIK Oddziału Towarzystwa Miłośników
Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Poznaniu

„Głosy Podolan”

Kwartalnik Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Poznaniu.

Zespół Redakcyjny:

Igor Megger (Poznań) Redaktor Naczelny, Hanna Dobias-Telesińska (Poznań), Alicja Kocan (Warszawa), Maria Sikorzyńska (Warszawa), Robert Szczerkowski (Wrocław), Piotr Rudzki (Warszawa) korektor.

Adres do korespondencji:

*Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Oddział Poznań
„CK Zamek”, ul. św. Marcin 80/82 p.336
61-809 Poznań
Z dopiskiem „Redakcja Głosów Podolan”*

Adres e-mail: igor_mode@wp.pl

Tel. 728-252-793

Strona internetowa: www.lwowiacy.pl

Konto bankowe:

*Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Poznań, ul. św. Marcin 80/82
PKO BP I O. Poznań*

Nr 06 1020 4027 0000 1302 0293 3455

Z dopiskiem: darowizna statutowa (na cele wydawnicze)

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania
i adiustacji nadesłanych tekstów.

Druk: „Orange House” ul. Sosnowa 38, Bielany Wrocławskie

Na okładce: Pocztówka wielosekcyjna Tarnopola z 1906 r.

SPIS TREŚCI

Józef Zbigniew SIEGEL	
Saga rodziny Siegelów (cz. VII)(Czortków, Szczecin)	s. 1
Jerzy STOPA	
Wspomnienia – cz. I (Tarnopol)	s.7
Dobrochna KONRAD	
„Jedna noc w życiu...”(Sybir)	s.14
Eugeniusz JAWORSKI	
Pracowaliśmy w Awratyniu na fortyfikacjach obronnych Armii Czerwonej	s. 20
Igor MEGGER	
Poznański wątek Złoczowskiej masakry z 1919 r.....	s. 23
Charlotte POTHUIZEN	
Podolanie „Sprawiedliwi Wśród Narodów Świata” cz.X – Rodzina Paślowskich (Monasterzyska)	s. 25
Alicja KOCAN	
Rozmowa dwóch Kresowianek (Krystynówka, Kopyczyńce)	s. 27
Jerzy MILLER	
Zapomniani pisarze z Podola cz. X – Tadeusz Borowski	s. 34
Krystyna MOŁODYŃSKA	
Kilka zdań o monografii Czernielowa Mazowieckiego	s. 36
Jerzy MILLER	
Kresowa Atlantyda tom XIX – czy warto przeczytać?	s. 41
REDAKCJA	
Odnaczenie dla naszej redakcyjnej koleżanki	s. 42
Aktualności z Podola oraz z życia Podolan w kraju	s. 44
Z żałobnej karty	s. 45
Igor MEGGER	
ŚP. Wilhelm Cezary Żyromski	s.47
Mila Sandberg-Mesner – wspomnienie	s.50
Hanna DOBIAS-TELESIŃSKA	
Zmarł ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski	s. 53
Kazimierz NIEMIERKA, Piotr KRUCZKOWSKI	
ŚP. Jan Kruczkowski	s. 56
Roman PAWŁOWSKI, Tomasz WYSOCKI	
Mój Transfer	s. 59
REDAKCJA	
Pieśni ludowe z Podola z nutami cz. V – Gdybyś była dobra żona.....	s. 63



Józef Zbigniew Siegel

Warszawa

Saga klanu Siegelów

Cz. VII

A teraz kilka słów o ciociach: Wisi i Wandzi. Ludwika, czyli ciocia Wisia, jako najstarsza z rodzeństwa nie znalazła czasu na małżeństwo i założenie własnej rodziny, poświęcając się bez reszty rodzinie czortkowskiej. Od 1950 roku zamieszkiwała w Szczecinie. Ostatnio pracowała w „Baltonie” (przedsiębiorstwo zaopatrzenia statków). W wieku 55 lat przeszła ciężką, ale udaną operację nowotworu, po której dożyła prawie stu lat – do pełnej setki zabrakło jej tylko 3 miesiące. Operacja dzięki cici Danusi przeprowadzona została w Warszawie po konsultacjach u profesora Bolesława Górnickiego, byłego rektora Akademii Medycznej w Szczecinie. Po tej operacji Wisia wróciła jeszcze do pracy i w wieku 60 lat przeszła na emeryturę. Zmarła w domu przy ul. Cieszkowskiego w Szczecinie. Spoczęła obok dziadzia, Jana Siegela na cmentarzu „Ku Słońcu”. Wanda po dokończeniu rozpoczętych w Krakowie studiów ekonomicznych na szczecińskiej Akademii Handlowej pracowała jako ekonomistka w biurach projektowych. Zmarła bezdzietnie w wieku 57 lat po operacji nowotworu mózgu. Również ona pochowana jest obok ojca, Jana Siegela.

Szczeciński Cmentarz Centralny („Ku Słońcu”) to największy cmentarz w Polsce, a trzeci w Europie. Wzorowany na nekropoliach Wiednia i Hamburga został otwarty 6 grudnia 1901 roku. Nowoczesne zorganizowanie cmentarza, który początkowo liczył 64 ha powierzchni, miało być wyrazem ówczesnej sztuki ogrodniczo-parkowej oraz architektury nagrobnej. Na cmentarzu zachowało się niewiele przedwojennych mogił lub pomników. Są to przede wszystkim nagrobki szczecinian niemieckiego pochodzenia, w tym kilku najbardziej zasłużonych dla miasta. Polska historia cmentarza zaczyna się w lecie 1945 r., kiedy polski Zarząd Miasta wyznaczył pierwszą kwaterę pod pochówki. Dziś kwatera ta nazwana jest

„Kwaterą Pionierów”. Na cmentarzu znajduje się wiele pomników, obelisków, krzyży i głazów upamiętniających wydarzenia historyczne, społeczne i inne. Na głównej osi widokowej cmentarza położona jest kwatera wojenna. Składa się z czterech sektorów rozdzielonych pośrodku szeroką, wysadzaną cisowym żywopłotem aleją. Spoczywa tu łącznie 3379 żołnierzy: 367 żołnierzy polskich (w tym 203 nieznanymi) i 3012 żołnierzy radzieckich (2586 nieznanymi). Po 1945 r. nekropolię kilkakrotnie powiększono. Obecnie jej powierzchnia wynosi ponad 172,3 ha. Cmentarz Centralny to wielki park i ogród dendrologiczny stanowiący wyraźny obszar bujnej zieleni na terenie miasta. Wśród 415 gatunków i odmian drzew oraz krzewów występują liczne gatunki obcego pochodzenia, w tym m.in. z Ameryki Północnej, Azji oraz gatunki rodzime.



Rodzina Siegelów w Szczecinie.

*U góry: Danuta, Zbigniew, Wincentyna, Franciszek, Amelia-Muszka Budyś.
U dołu od lewej: Tatiana (c. Franciszka), Ludwika - Wisia, Piotrek (s. Zbigniewa),
Dziazio Jan, Wanda, Joasia (c. Zbigniewa).*

Pozostał nam jeszcze Józef-Zbigniew Siegel – ostatni żyjący jeszcze młodociany „Kolumb”, ale skoro jemu zawdzięczamy narrację rodzinnej sagi, to jego losy będą opisane w ostatnim rozdziale

opowieści. Czas na podsumowanie odysei czortkowskich Siegelów. Licząc od ucieczki Franka z Polski po Powstaniu Czortkowskim, co miało miejsce w 1940 roku, aż do jego powrotu w 1957 r. upłynęło siedemnaście długich lat zanim tron rodziny w komplecie znalazł swoje miejsce w Szczecinie, tym razem na zachodnich krańcach Polski.

Teraz chciałbym wspomnieć bliską rodzinę, z konieczności pozostałą w Czortkowie. Genowefa Plecan, siostrzenica Marii Siegel, czyli naszej mamy, publicznie podawała wyznanie greko-katolickie, co „automatycznie” wykluczało ją z akcji repatriacyjnej. Rodzina musiała zatem pozostać w Czortkowie na terenie sowieckiej Ukrainy. W latach sześćdziesiątych rygory komunistyczne nieco złagodniały i na zaproszenie Siegelów do Polski przyjechała Gienia Plecan wraz z synem Orestem i jego rodziną.

Jakież było ich zdziwienie, a potem podziw dla panujących w PRL swobód. Orest opowiadał, jakie tam panują trudności zaopatrzeniowe, niewiele różniące się od czasów wojennych, a milicja blokuje dostęp do cerkwi dzieciom i dorosłym, przepuszczając jedynie starszki (kościół dominikański zamieniony na magazyn paliw). Orest z córką będąc w Szczecinie u Wisi wybrał się sam na całodienne zwiedzanie miasta. Po powrocie do domu stwierdził, że w Polsce panuje straszny bałagan. „Dlaczego?” - pyta Wisia. – „No jak to, dlaczego?” – pytaniem odpowiedział Orest, a potem dodał: - „Ja *inostraniec* chodzę po mieście bez jakiegoś miejscowego obywatela i przez cały dzień nie zostałem ani razu wylegitymowany przez milicję. Dziwna ta wasza Polska.”

Wszyscy nasi goście zostali ubrani jak należy i także zaopatrzeni, a po zwiedzeniu Szczecina i jeszcze Krakowa ze łzami wzruszenia wyruszyli do Czortkowa. Trochę zazdrościliśmy im tego powrotu, bo my wszyscy „wypędzeni” do naszego rodzinnego miasta mogliśmy powracać tylko w snach. Wypada również wspomnieć kuzynostwo z Czortkowa (też „repatrianci”), tj. Koprów i Majkowskich.

Najstarszy to Tadeusz Koper. Wiemy już, że spod okupacji sowieckiej przez Dniestr dostał się do Francji, do polskiej armii

tworzonej przez gen. Sikorskiego. Długo w niej nie zabawił, gdyż został dyscyplinarnie zwolniony za odmowę wykonania rozkazu wydanego przez dowódcę oddziału, tj. kaprala, co jak możemy przypuszczać stanowiło gwałt na jego artystycznej duszy. Jeszcze przed upadkiem Francji w 1940 roku dostał się do Wielkiej Brytanii. Tam, jako artysta rzeźbiarz nawiązał kontakt z wydziałem sztuki Uniwersytetu w Cambridge, gdzie później kierował pracownią rzeźby. Po wojnie ożenił się z Angielką imieniem Dorina. W roku 1961 wraz z żoną przyjechał po raz pierwszy do Polski, do Szczecina, do swego brata Kazimierza. I co powiecie na to, że Tadeusz po tak długiej rozłące wita się z bratem u progu jego domu przy ul. Leszczyńskiego 25 nie słowami powitania, ale potężnym okrzykiem: - „Zsiadłego mleka!!!” Tak mu tego zsiadłego mleka w Wielkiej Brytanii przez 20 lat brakowało. Trzeba wiedzieć, że w Anglii zsiadłe mleko uważane jest za zepsute.

Przyjazd Tadeusza do Polski był związany z rozpisaniem przez Polskę konkursem na pomnik Powstania Warszawskiego. Tadeusz złożył swoją pracę. Widzieliśmy model tej pracy; jakieś trzy kawałki sera szwajcarskiego ustawione względem siebie w różnej konfiguracji. Na nasze pytania, cóż to ten ser przedstawia, Tadeusz naukowo wytłumaczył nam, że nie jest ważny kształt, lecz *f o r m a* ! Taka wówczas w świecie sztuki panowała moda. Komisja konkursowa nie przyjęła do realizacji żadnej zgłoszonej przez niego pracy. O sposobie bycia Tadeusza względem ludzi spoza sztuk artystycznych niech świadczy taka oto sytuacja. Podczas wizyty w naszym mieszkaniu Tadeusz zwrócił się do mojej żony Danuty z pytaniem dotyczącym wiszącej w pokoju reprodukcji znanego obrazu Wyspiańskiego: - „Czy pani wie, co to za obraz?” Kiedy w odpowiedzi otrzymał pełną informację nie tylko o obrazie, ale i ogólnie o pracach Wyspiańskiego, ze zdziwieniem powiedział: - „Ty zobacz! Ta pani tyle wie o Wyspiańskim, a przecież nie jest malarką.”

Po śmierci żony Tadeusz przeniósł się do Włoch, do Carrary, zapewne z uwagi na tworzywo rzeźbiarskie, jakim jest marmur karraryjski, w którym np. Michał Anioł wykuł swe słynne dzieło –

Piętę Watykańską. Jakie znaczenie w sztuce ma „forma” Tadeusz wytłumaczył redaktorze telewizji polskiej przeprowadzającej z nim wywiad w jego pracowni rzeźbiarskiej w Carrarze. Odsądzał w nim od czci i wiary swego adwersarza, Augusta Zamoyskiego, też rzeźbiarza działającego wówczas we Francji: - „Proszę pani. On potrafi rzeźbić tylko d..y!” Siłę wypowiedzi podkreślił żywą gestykulacją pokazując pani Elżbiecie Dzikowskiej jakie kształty mają owe d..y – „A przecież tu jest ważna f o r m a !!!” I bądź tu mądry, jaka jest różnica między formą, a kształtem. Taki to był ten nasz artysta Tadeusz Koper.



Prace Tadeusza Kopera.

Serdeczne stosunki panujące w tak rozległej rodzinie oraz dość rubaszny sposób bycia Tadeusza zilustruję przy okazji zwiedzania elektrowni „Turów” przez uczestników polonijnej wycieczki, której uczestnikiem był również Tadeusz. W owym czasie byłem kierownikiem w elektrowni i wraz ze swoim zastępcą oprowadzałem wycieczkę po obiekcie. Po serdecznych słowach powitania Tadeusz wypalił do mojego zastępcy: „Panie inżynierze! To wy ta-

kiemu gówniarzowi pozwalacie kierować elektrownią?! Taż ja, panie inżynierze, temu smarkaczowi tyłek w dzieciństwie wycierałem, a teraz on kieruje elektrownią?!” Po śmierci Tadeusza w roku 1995 ambasada brytyjska zinwentaryzowała i wywiozła do Wielkiej Brytanii cały rzeźbiarski dorobek Tadeusza Kopera – był obywatelem brytyjskim od wielu lat. Jedyne jego bratankowi, Piotrowi Koperowi udało się odzyskać dla rodziny kilka pamiątek po nim. Tadeusz Koper został pochowany na cmentarzu w Carrarze. W Polsce znajduje się kilka jego rzeźb w Muzeum Narodowym w Kielcach i w Muzeum Uniwersyteckim w Toruniu.

Młodszy Koper – Kazimierz, był już wspomniany przy okazji opisywania okresu pierwszej okupacji sowieckiej Czortkowa, kiedy wykazał się niebywałą zdolnością przystosowania się do zmienionych warunków politycznych i ekonomicznych. W 1945 r. kiedy ruszyło wysiedlanie Polaków z terenów „Ukrainy Zachodniej”, Kazik opuszcza Czortków z całą rodziną: żoną Dusią, córką Ewą i mamą Pauliną będącą dla wszystkich Siegelów ciocią Koprową. W drodze na Ziemię Zachodnie Koprowie zatrzymują się z konieczności w Jarosławiu, aby przywitać właśnie tam przychodzącego na świat kolejnego z Koprów – Janusza. Po upływie dwóch lat docierają do Szczecina i zamieszkują w częściowo spalonym poniemieckim domu przy ul. Wyspiańskiego. Tu rodzi się kolejny syn, Piotr. Handlowe i organizacyjne talenty Kazika w pełni zakwitły. Został dyrektorem państwowego przedsiębiorstwa o nazwie „Spółem”, sprzedając mieszkańcom Szczecina „co popadło” i to określenie wcale nie ma pejoratywnego zabarwienia z uwagi na trudne lata powojenne i specyfikę ustroju socjalistycznego polegającą na „chwilowych” brakach w zaopatrzeniu w cokolwiek. W okolicy roku 1953/54 Koprowie przenoszą się na ul. Leszczyńskiego 25 do jednorodzinnego, piętrowego domu. W 1954 roku umiera ciocia Koprowa i zostaje jako pierwsza z całej rodziny pochowana na cmentarzu „Ku Słońcu” w Szczecinie. Był to też pierwszy pogrzeb spośród wysiedleńców z Czortkowa. Po przejściu na emeryturę Kazik zorganizował, można powiedzieć, na skalę przemysłową biznes pszczelarski - pasiekę składającą się z kilkudziesięciu uli, które w

okresach zbiorów były przewożone na przyczepach samochodowych w rejonu upraw miódodajnych. Moja żona Danuta też ma Kazika w miłej pamięci. Kiedy mieszkaliśmy w pokoju sublokatorskim na sąsiedniej ulicy Beyzyma i przyszło na świat nasze pierwsze dziecko, to wielką wygodą było dla nas podrzucanie małej Joasi do Koprów na ul. Leszczyńskiego (odległej zaledwie ok. 200 metrów). Tam w upalne dni dziecko spało w ogrodzie w cieniu drzew. Niech no tylko Joasia zapłakała. Kazik natychmiast stawał na baczność cały dom gromkim krzykiem: - „Dziecko płacze!!!” Natychmiast cała piątka mieszkańców Leszczyńskiego 25 była przy Joasi. Trudno o takiej pomocy nie pamiętać. Wesole usposobienie Kazika czasem dawało o sobie znać w różnych momentach. Pewnej Wigilii razem z Wandą odwiedziliśmy Koprów „z kolędą”. W trakcie wigilijnej wieczerzy Dusia podała też faszerowaną rybę w galarecie, a jak wiadomo, to danie jest bardzo pracołłonne. Dusia zapewne oczekiwała oceny dania, ale jakoś nikt przy stole nie wypowiedział się w tej kwestii. W pewnej chwili Dusia prowokacyjnie zapytała Kazia: - „I co ? Smakowała ci moja ryba?” Na co Kazik: - „Tak. Smakowała, bo surowa i nie posolona!!!” Cdn.

Jerzy Stopa

Warszawa

Wspomnienia

Cz. I

Od redakcji: Niniejsze „Wspomnienia” są przedrukiem części broszury o tym samym tytule, wydanej nakładem własnym J. Stopy w serii Biblioteczka Podolska (zeszyt nr 5) w 1997 roku. Publikujemy tylko wspomnienia za lata 1926-1939, gdyż wspomnienia za lata 1939-1945 (II część broszury) opublikowane zostały (z nielicznymi zmianami) w artykule pod tytułem „Mój Ojciec Józef” tegoż autora w numerach 146-147 oraz 156-157 „Głosów Podolan”. Rysunki w tekście są autorstwa J. Stopy (prócz rysunku domu kolonii urzędniczej, który jest autorstwa mgr E. Frączek).

I Okres tarnopolski

Urodziłem się na Kresach Północnych Rzeczypospolitej w 1926 roku w powiatowym mieście Baranowicze, w województwie nowogródzkim. Mieszkalem tam z rodzicami w domu przy ul. Kolejowej 20. Nie pamiętam tamtych dni, nie pamiętam rodzinnego miasta, gdyż mając 1,5 roku ojciec mój Józef z całą rodziną przeniósł się do Tarnopola. Pozostawił studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie, by zasilić kadry pracowników Urzędu Wojewódzkiego w Tarnopolu.

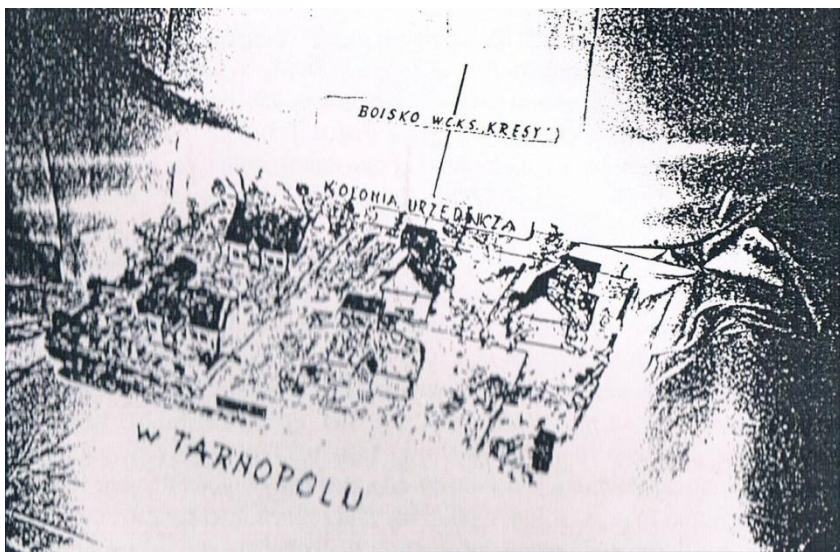
Jak wynika z opowiadań ojca, dom w Baranowiczach był drewniany. Ojciec opowiadał nam, że w tamtych stronach był taki zwyczaj, że w pierwszy dzień Wielkanocy gospodarz powinien odwiedzić i złożyć życzenia każdemu znajomemu w mieście, niezależnie od tego czy była to znajomość zażyła, czy przygodna. Zajmowało to dużo czasu zarówno odwiedzającemu, jak i odwiedzanym. Każdy częstował czym mógł, tak, że pod koniec dnia wielu miało trudności z trafieniem do własnego domu. Aby się do tego przygotować, w wigilię święta przygotowano zastawiony stół i każdy odwiedzający wybierał sobie, co chciał. Ponieważ w domu były gryzonie, ojciec bardzo dokładnie zakołkował wszystkie otwory. Gdy tylko zgasił światło posłyszał, że jeden już jest na środku stołu. Zerwał się i pogrzebaczem usiłował biednego trafić. Kilka razy zauważył, że nieszczęśnik pnie się do góry po kotarze przy drzwiach. Wtedy odkrył, że na wysokości około 1,5 m jest jeszcze jeden niezatkany otwór, więc zatkał go. Wtedy gryzoń wskoczył do pieca, gdzie były uchylone drzwiczki i przygotowane w nim podpałki. Dużo nie zastanawiając się, zapalił się w piecu. Nieszczęśnik wyskoczył przez ogień i z zapaloną sierścią uciekł do jakiejś norki. Zrobił się tumult pod podłogą i wszystkie gryzonie w popłochu wyprowadził. Ojciec długo jeszcze nie kładł się spać, oczekując na pożar, bo dom był drewniany. Wszystko dobrze się skończyło.

Wiele lat później byłem kilka razy w Baranowiczach, lecz tylko przejazdem, zwykle nocą pociągiem z Warszawy do Mińska lub Moskwy. Nigdy nie godziłem się z zapisem w moim dowodzie

osobistym ze sformułowaniem: urodzony „w Baranowiczach – ZSRR”.

W pierwszym okresie rodzice moi mieszkali w Tarnopolu przy ul. Wesołej (później nazywała się ul. Żwirki) u państwa Okienków. Kilkanaście lat później, już w czasach okupacji, spotkał się z córką właściciela kamienicy panią Wisią Okienkową w Borkach Wielkich.

Okres z ulicy Wesołej znam jedynie z opowiadań mojej starszej siostry Krystyny. Zdarzył się taki epizod, kiedy ja odprowadzałem ojca wychodzącego z domu do pracy, obok nas przechodził komisarz policji, pan Lipski. Nie wytrzymałem, by ojca nie ostrzec: „Tato, policjant idzie, uważaj”. Na to komisarz, którego ojciec znał, powiedział: „ładnie pan wychowuje dzieci”.



Kolonia domków urzędniczych u zbiegu ulic Baworowskiego i Tarnowskiego w Tarnopolu

Potem przeprowadziliśmy się do kolonii domków pracowniczych Urzędu Wojewódzkiego na rogu ulic Baworowskiego i Tar-

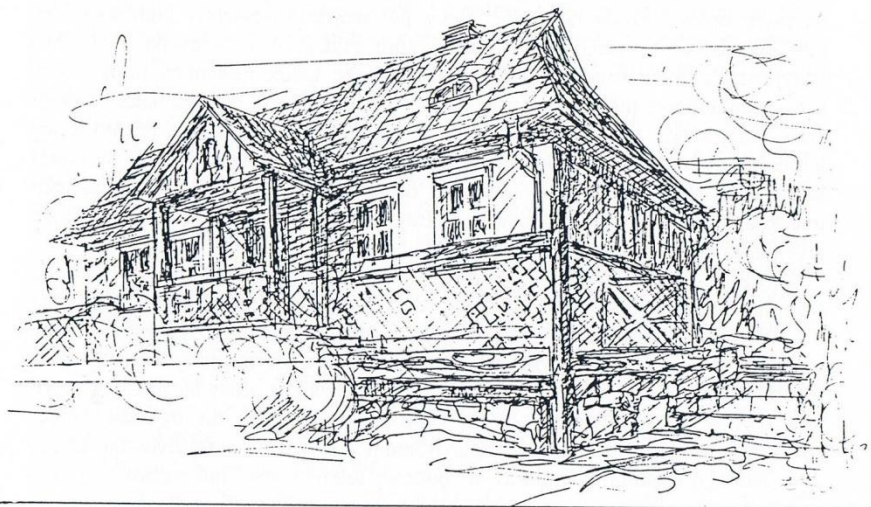
nowskiego. Makietę tej kolonii opracował Leszek Onychir. Domki miały następujący adres: Baworowskiego 1, 3, 5, 7 i 9 licząc od lewej strony. Nasz domek miał numer 9. Później zamieniono nam adres na Tarnowskiego 41. Tu mieszkaliśmy do 15 maja 1940 r. Jest to ten sam dom, o którym wspomina Czesław Blicharski w swej książce „Tarnopol w latach 1809-1945”.

Kolonię stanowiło pięć jednakowych domków, które kryte były gontem. Wygląd domku, w którym mieszkał Leszek Onychir z rodzicami i siostrą oraz państwo Szlagorowie, pokazany jest na rysunku. Rysunek pochodzi z jego książki pt. „Rodem z Tarnopola cz. I”. Każdy domek miał 4 izby, werandę – jako wejście reprezentacyjne i sień z wejściem od tyłu. W izbach tych, w zależności od liczby rodzin zamieszkujących domek, urządzone były jedna lub dwie kuchnie. W dwóch domkach mieszkały po dwie rodziny, a mianowicie: państwo Onychirowie i Szlagorowie oraz państwo Stecowie i Opalińscy. Pozostałe domki zamieszkiwali Bachurscy, Jarosławscy i my.

Domek nasz stroną frontową zwrócony był do ulicy Tarnowskiego. Z tej strony przed domem były klomby z kwiatami oraz bardzo dużo krzaków bzu. Obok domu ogródek, w którym ojciec sadził pomidory, prawdopodobnie nie tylko, ale pomidory zapamiętałem z powodu pewnych akcji, o których potem. Na podwórku stała komórka, w której przechowywano drzewo i węgiel na opał i przylegająca do niej zagroda z kurami, które ojciec hodował. Sąsiedami naszymi byli Stecowie i Opalińscy, dalej Jarosławscy, obok boisko. Można było tam przechodzić przez furtkę obok komórki, najczęściej po wodę do studni. Boiska pilnował pan Pasternak (o ile mnie pamięć nie myli), który od niedawna tam mieszkał i pełnił swoją funkcję.

Boisko było obiektem szczególnego zainteresowania nas, młodych chłopaków. Jako całość było ogrodzone. Było tam boisko główne, na którym rozgrywały się mecze piłki nożnej. Otoczone było bieżnią, skoczniami do skoków w dal i wzwyż, miejsce do pchnięcia kulą i rzutu oszczepem. Tu rozgrywały się zawody lekkoatletyczne. Była tam też trybuna drewniana, w której na dole mie-

ściły się szatnie klubów. Stąd też z gracją wybiegali zawodnicy na płytę boiska. Grały tam takie kluby, jak wojskowo-cywilny klub sportowy (WCKS) KRESY, LEGION, ukraiński klub PODILIA i żydowski JEHUDA. Przyjeżdżali tu ze Lwowa CZARNI i POGOŃ. Obok głównego boiska były boiska treningowe piłki nożnej oraz do gry piłki ręcznej. W pobliżu naszego płotu stała hala, którą zbudowano w 1931 r. dla Wojewódzkiej Wystawy Rolniczej i Regionalnej i pozostała nierozzebrana jako hala sportowa, w której grano w siatkówkę i koszykówkę aż do wybuchu wojny. Do hali przylegało mieszkanie dozorca. Wzdłuż muru od ulicy Tarnowskiego ciągnęła się strzelnica zwykła, a wzdłuż parku strzelnica łucznicza.



Wygląd domku kolonii urzędniczej.

Boisko było wykorzystywane do różnych celów: jak już wspomniałem sportowych, różnych imprez, a czasem jako tereny ćwiczeń wojska.

W Tarnopolu w okresie II Rzeczypospolitej stacjonował szereg jednostek wojskowych, między innymi dowództwo 12 dywizji piechoty oraz 54 pułk piechoty strzelców kresowych. Najczęściej ćwiczyła kompania łączności. Rozwijała ona w czasie ćwiczeń swo-

ją centralę telefoniczną na trybunie boiska, a czasem w sieni naszego domu pod schodami wiodącymi na strych.

Jednego wieczoru dwie drużyny budowy telefonicznej linii tyczkowej odbywały zawody, kto szybciej zbuduje taką linię wzdłuż ulicy Baworowskiego począwszy od ul. Tarnowskiego w kierunku parku miejskiego i ul. Mandla. Postanowiliśmy jednej drużynie pomóc roznosząc tyczki, by w ten sposób przechylić zwycięstwo na naszą stronę. Czy myśmy pomogli – muszą to ocenić sami zawodnicy – może żyją jeszcze, są od nas starsi zaledwie o kilka lat. Dziś mogłoby się wydawać, że na ulicy niemożliwym jest wbijanie tyczek podtrzymujących linię napowietrzną, ale ul. Baworowskiego w tamtych czasach nie sprawiała żadnych kłopotów. Nie miała nie tylko chodnika, ale nawet nie była utwardzona. Po deszczu kałabanie były tak duże, że bez kaloszy trudno było przejść w mesztach.

Pewnego lata w hali sportowej na boisku zakwaterowano wojsko (prawdopodobnie rezerwiści powołani do odbycia ćwiczeń). Tuż za naszym płotem między halą a główną bramą boiska rozlokowała się kuchnia polowa, która przez kilka tygodni gotowała posiłki dla ćwiczących. Cóż za zapachy rozchodziły się z kotłów tej kuchni! Tak nam to smakowało – na razie w wyobraźni, że zaczęliśmy się kręcić koło kucharzy, początkowo za płotem, a potem coraz bliżej i bliżej, w końcu kontrakt został zawarty, my szorowaliśmy kotły po kolacji, a za to otrzymywaliśmy talerz pęczaku z gulaszem, kawałek komiśniaku i kostkę prasowanej z cukrem kawy. Pewnego razu jedliśmy swoją zdobycz z duszą na ramieniu, bo w tym czasie kontrolowano kuchnię. My musieliśmy chować się pod stół i „chłodziec litewski milczkiem żwawo jeść”, a na stole kuchennym oficer dyżurny sprawdzał czystość i porządek. Całe szczęście, że dyżurny nie próbował usiąść przy stole, wtedy bowiem by się wszystko wydało. Głębiej nie można było się schować ze względu na płot.

Boiskiem bardzo interesowaliśmy się, bo był to rozległy teren, na którym można było bawić się, chować, uciekać. Po jednej z takich zabaw mam do dziś pamiątkę. Skacząc do rowów strzeleckich, czy dołów do rzutu granatem, wpadłem na dno stłuczonej bu-

telki – dużo płaczu i strachu, a blizna pozostała do dziś i może być wykorzystywana jako znak szczególny.

Na boisko sportowe mieliśmy wstęp wolny z wyjątkiem imprez płatnych. Wówczas to porządkowi zamykali wszystkie bramy i pilnowali, by nikt bez ważnego biletu nie wszedł na teren imprezy. Mogę stwierdzić, że nie zawsze im się to udawało. Gdy mecz się skończył, tłum wychodził na ulicę Tarnowskiego i zażartą dyskusję toczył dalej. Tak byli zaabsorbowani sobą, że nas dzieciaków stojących za płotem tuż za bramą główną boiska nie zauważali. Wtedy wpadł nam szatański pomysł, by wziąć odwet za to, że nas nie wpuszczono na boisko bez biletów i zaczęliśmy rzucać w tłum pomidorami z naszego ogródka. Wybieraliśmy z tłumu, jako obiekty ataku, starozakonnych, bo z nimi było więcej uciechy, gdy zostali trafieni. Pewnego razu rzuciłem pomidorem, który spadł na klapę jasno-popielatego ubrania i rozlał się. Głupio mi się zrobiło, bo ten człowiek był Bogu ducha winien. Od tego czasu więcej nie rzucałem. Mój serdeczny kolega Leszek Onychir, który razem ze mną i innymi rzucał pomidorami stwierdził na VII zjeździe Tarnopolan w 1993 r., że brał do tych celów tylko zielone pomidory więc szkody wielkiej nam nie robił. Rodzice nasi, nie wiedząc o naszych zabawach, nie mieli do nas pretensji, że brakowało pomidorów, a było tych krzaków około setki. Zatem proceder był wielokrotnie powtarzany.

Ulica Tarnowskiego od mostu kolejowego do wylotu z miasta wznosiła się ku górze, coraz bardziej stromo, im bliżej wylotu. Zimą stanowiła doskonały zjazd na sankach, bo narty były już dla nas za wielkim rarytasem. Aby dotrzeć na górę wykorzystywaliśmy sanie chłopów wracających pod wieczór do domów. Trzeba było zaczepić sanki do saní ciągniętych przez konie. Do tego celu nadawał się długi sznur, bo często się zdarzało, że chłopie nie mogąc pozbyć się natrętów zacinali batem, a gdy to się nie udawało, to konie. Wówczas jedynym ratunkiem było odcięcie sznura, by nie wyjechać zbyt daleko za miasto. Za miastem droga opadała do rozwidlenia w kierunku na Podwołoczyska lub w lewo na Zbaraż. Zanim nabraliśmy doświadczeń, trzeba było niejeden raz piąć się sankami pod

górze, ale już z drugiej strony i cały wysiłek na nic. Natomiast zjazd z góry był wynagrodzeniem za trudy. Na przedzie siedział „kierowca” z łyżwami na butach z tyłu reszta. Zimą była jeszcze jedna atrakcja. Idąc w górę Tarnowskiego na wysokości boiska lub wyżej, po prawej stronie na podwórku stały przy bramie dwa rzeźbione w śniegu lwy, które pilnowały wjazdu. Japończycy widocznie od nas z Tarnopola zapożyczyli zwyczaj rzeźb śniegowo-lodowych. Cdn.

Anonim

opr. Dobrochna Konrad

Poznań

„Jedna noc w życiu...”

Od redakcji: tekst został nadesłany nam przez p. Dobrochnę Konrad z Poznania, Podolanekę i Sybiraczkę, która tekst ten opracowała z rękopisu, który trafił kiedyś przed laty do Związku Sybiraków. Pomimo iż brak w nim nazwisk, czy nazw miejsc, uważamy, że warto go zamieścić na naszych łamach, gdyż, jak twierdzą Sybiracy, którzy z nim się zapoznali, w pełni oddaje ich katorgę.

Nie zdajemy sobie sprawy która jest godzina, ani nie wiemy gdzie jesteśmy. Dookoła nas przyszarzała biel śniegu, a ponad nim, jakby w mleku rozpuszczona, czerń nocy. Razem to wszystko owinięte gazą mgły, przez którą – w którymś tam miejscu jej rozwarcia – przedziera się anemiczna poświata księżycy, oświetlając ustawione na nasypie kolejowym postacie ludzkie, przed kwadranssem wyrzucone z wnętrza „ciepluszek”.

Długi to szereg ludzkich postaci wzdłuż długiego zestawu wagonów, ciągniętych w to miejsce aż dwiema lokomotywami. Sapia i one jeszcze ze zmęczenia, kłębami pary buchając spod nawisłych sopli lodowych, starając się je stopić ze swoich cielsk. Próżny to trud jednakóż...Para ulatująca, ledwo zetknie się ze sko-

rupą marzłości, jak sama przylega do niej, zgrubiając jedynie jej warstwę.

My także swój własny oddech czujemy, nawarstwiający się na naszych policzkach, a we wnętrzu dróg oddechowych ucisk uniemożliwiający swobodny oddech. Przypominają nam się podania o syberyjskich mrozach, jakie w tej chwili – kto ich wie – wydają się nam zbliżone do absolutnego zera.

Uczucia takiego doznajemy – jak później uświadomiliśmy sobie – w następstwie wyjścia z bądź co bądź nagrzaných własnymi ciałami „ciepłuszek” w otwartą przestrzeń nocy polarnej, sięgającej rzędu minus pięćdziesięciu stopni Celsjusza. Sztywniejące nogi zatracające czucie pobudzamy podskokami... próbując ciała przywracać zanikającą elastyczność; rzęsy, w tym czasie, coraz silniej przyklejają się do siebie. To na nich, jak na lokomotywach, narastają zgrubiające się warstwy szronu, starającego się złączyć je w jedną całość. Senność rodząca apatię wstrzymuje proces myślenia. Księżyc tylko obojętnie i niezmiennie patrzy na to wszystko... bo już nie pierwszy raz. Nawet nie kształtuje cienia na śniegu z naszych postaci, jakbyśmy już przestali być materią, a czymś, co stało się samo cieniem ukształtowanym w ludzką formę.

Naraz wydłużonym szeregiem zafalował rozkaz: ”Dwójkami... formuj się!”. I posłusznie sformował się dwuszereg, wzdłuż którego ruszyli nasi „opiekunowie”, przeliczając dwójkę po dwójce, od początku do końca i jeszcze raz od końca do początku. Potem nowy rozkaz. Sznur dwójek ruszył przed siebie za przewodnikiem, najstarszym rangą z naszej ochrony, obstawiony po bokach w kilkunastometrowych odstępach żołnierzami z automatami zawieszonymi na piersiach.

Ruszyli zliczeni jak sztuki bydła, ludzie popędzani ludźmi, pozbawieni woli własnej, świadomości celu, do jakiego dojść mają, drogą bezdroża, niewydeptaną stopami innych ludzi, w nieokreślony czas, w nieznaną przyszłość...

Z tobołkami pod pachą lub na plecach – tego, co zdołali zabrać z domu – parę ciepłej bielizny, skarpetami lub jakimś swetrem, przygięci ciężarem odbytej już drogi, krok za krokiem... poruszali

się za wiodącym po skorupie śnieżnej (o dziwo!), nie łamiącym się pod ich ciężarem... tak silnie scementowanym lodowym spoidłem.

Księżyc w dalszym ciągu patrzył na to wszystko, chwilami tylko zasłaniał swoją twarz gęstą zawiesiną mgły, niby to wstydząc się za bezceństwa ludzkie, to znów odsłaniając swoje oblicze, jakby chcący wnikliwiej przyjrzeć się niedoli tychże ludzi. A my kroczyliśmy, od czasu do czasu przynaglani okrzykami konwojujących nas, kroczyliśmy przed siebie, ale coraz słabszym i krótszym krokiem.

Po jakimś już czasie, nieokreślonym wymiarem, nagle od przodu doszedł nas odgłos: „wilki!”. I w momencie tym, pomimo znużenia i całkowitego zubożenia, poczuliśmy przebiegające po grzbiecie ciepło i przed wyteżonym wzrokiem ukazywać się poczęły migające błędne ogniki. „Wilki!” ..„Wilki!” – powtarzać zaczęliśmy jeden przez drugiego.

„Cisza! Bez szumu!” – wdarł się w nasz poszum silniejszy głos wiodącego. „Jakie tam wilki...”, to światła obozu. Zaraz dojdziemy do niego ...Za niecałe pół godziny”. Słowa posłyszane dodają nam bodźca do wyteżenia ostatnich sił..., żeby jak najprędzej dojść tam, tam, gdzie spodziewaliśmy się znaleźć jakieś zabudowania, byle jakie..., byle tylko wpuszczono nas do nich, żeby tylko osłoniły nas przed wzmagającym się wiatrem. To było w tej chwili najważniejszym naszym pragnieniem.

Wydłużony krok zaczął rozgrzewać nasze ciała, a z pół oddechem z ust wydobywały się gejzery pary. Lecz w miarę wzmoczonego wysiłku, potęgowało się pragnienie picia. Próbowaliśmy stopami odłupywać kawałki zlodowaciałej pokrywy śniegu, i tym, którym udało się to przedsięwzięcie, zazdrościli inni. Bo nie każdego spotkało to szczęście. Szczęśliwsi, czy też silniejsi w nogach, nieśli swoją zdobycz oburącz, liżąc ją językiem lub obgryzając zębami. Pozostali przetykali resztki śliny własnej. Byle dojść, byle dojść do widzianego już wyraźnie oświetlonego kawałka płaszczyzny, na rogach którego rysowały się ledwo widoczne na tle ciemnego nieba, ciemniejsze od niego, strażnicze budki na drewnianych rusztowaniach. Bardziej wyraźna, jaśniejsza przestrzeń, oświetlona silniej-

szym reflektorem, sama sobą ukazywała wejście do wnętrza – zapraszająca znaną na świecie rosyjską gościnnością.

Ale tym razem, brama nie była otwarta na oścież. Obok, przy drzwiach prowadzących do wartowni, stało kilku wojskowych w półkożuszkach i futrzanych czapkach, którym nasz przewodnik wręczył pakiet wyjęty z zawieszanej przez ramię torby, po czym wszedł z kilkoma do wnętrza wartowni. My dobijaliśmy stopniowo do czoła, ścieśniając się szczelniej w gromadę, by w kupie różnie ogrzewać się nawzajem. Chociaż z ust naszych buchała para, siwy szron bielił nam brwi, rzęsy, podhodowane już wąsy, brody i bezpardonowo wchodził na skronie. Podskakiwaliśmy gromadnie, jak murzyni w czasie swoich tańców rytualnych, przytupując nogami i wymachując rękami.

W tym czasie, w wąskim przejściu przy wartowni, rozpoczął się ceremoniał przyjmowania nas. Sprawdzano personalia, uzgadniano ze spisem, przyglądano się twarzom, a przy tym nie skąpiono epitetów, krańcowo przeciwstawnych literaturze pięknej. Ześrodkowaną uwagę naszą na ceremoniale translokacji na drugą stronę ogrodzenia, przerwało niespodziewane zjawienie się przed bramą po naszej stronie beczki na saniach, ciągnionych przez małego, całego w kłakach siwizny, konika prowadzonego pod wartą, przez podobnego do tegoż konika – tak samo obleczonego kłakami oszronionego waciaka, człowieka, prawie równej wysokości, co i szerokości. Z otworu, znajdującego się u góry pośrodku, drewnianej beki, unosił się opar, jak z garnka wrzącej wody. Człowiek ten wołać zaczął, by otworzono mu bramę – ale strażnicy pochłonięci czynnościami przyjmowania „gości” nie słyszeli go. Gwar ciżby ludzkiej, tłoczącej się przy wejściu, zagłuszał wołanie woźnicy, parskanie konia, nasze przytupywanie, nawet szcęknięcie naszych zębów.

Niektórzy z nas, nieliczni, którym udało się zgrabiłymi palcami wydostać z czeluści kieszeni resztki startego tytoniu, mozolnie zwijali go w kawałki gazety; sprytniejsi już przypalili je, zaciągając się namiętnie, uszczęśliwieni, wchłanianym ciepłem w płuca.

Nie mający już nic z tytoniu, przyglądali się im zazdrośnie, śmielsi prosili o trochę dymu.

Wtedy to i woziwoda także przybliżył się do palących i zagaił: „Z daleka? Macie tytoń? No, to dajcie zapalić”... Prośba w jego głosie była silniejsza od prośby żebraka o chleb. Ktoś odstąpił mu swego peta... a on pozwolił zbliżyć się do beki i pić z niej wodę, zwożoną przez niego – jak wynikało z rozmowy – w ciągu wielu godzin z przerębli wyrąbanej w pobliskiej rzece, do obozowej kuchni. Woda ta była znacznie cieplejsza od atmosfery. Pito ją czerpiąc złożonymi dłońmi wprost z otworu beczki, nie zważając, jak mało jej trafia do ust, a jak wiele spływa po brodzie na tors, czy za rękawy. Niektórym udało się wyłowić bryłki lodu i ci usunąwszy się na stronę, delektowali się nią. Tymczasem nas, z tej strony, pozostawało co raz mniej i wreszcie też ja znalazłem się po drugiej stronie. Znalazłem się z towarzyszami wspólnej niedoli we wspólnej ziemi.

Przy wspólnym piecu, a raczej beczce po benzynie ułożonej na boku pośrodku prostokątnego korpusu, (na której w grubszym jej końcu w dnie wycięto otwór do wrzucania węń opału, na drugim wycięto otwór do wstawienia rury dymnej) od której buchał żar „podsycany miałem węglowym przez siedzącego przed paleniskiem jakiegoś „skośnookiego”, zgrupowaliśmy się jak jeden mąż, jeden przez drugiego cisnąć się możliwie bliżej źródła ciepła... Obracając się możliwie na wszystkie strony, żeby ciepłem rozmiękczyć zrogowaciałe ubrania... Potem, rozpinając je, śmielej obnażaliśmy nasze doczesne członki pod działanie błęgiego uczucia.

I wydało nam się wtedy, że nie stało się nic, że jak dawniej jesteśmy u siebie w domu, że jest już wszystko dobrze, że już wszystko zło mamy za sobą.

Języki poczęły się rozwiązywać, ktoś zapytał: „Czy dadzą nam jeść?”... A „skośnooki”, siedzący przed otwartym paleniskiem, zabarwiony czerwienią ognia, uśmiechnął się zagadkowo i odpowiedział, błysnąwszy oczyma w kierunku pytającego: „Rano dadzą... bałaudy... Chyba zapiekankę też...”

Informacja jego, chociaż złożona z nieznanych nam wyrazów, podziałała na nas obiecująco. Któryś z nas, z wdzięczności za jego dobre słowa, podsunął mu trzymaną w palcach szczyptę tyto-

niu. On jednak gestem odsunął ofiarującą dłoń. „Nie trzeba – powiedział – ja już nie palę. Ty też rzuć palenie, bo inaczej to chleba za mało mieć będziesz... kiedy za chleb tytoń kupować będziesz... jak ja na początku, chyba dwanaście lat temu. W lazarecie powiedziałem wtedy sobie – głupi, głupi jesteś... i rzuciłem. Kiedy tu pobędziesz... bo stąd nieprędko wyjdiesz... też zmądrzejesz, kiedy nie będziesz chciał, żeby wywieźli trupa szczerom na zjedzenie. A ponad siły nie pracuj-pamiętaj! Chociaż więcej dostaniesz chleba za większą robotę, nie zwróci on straconej siły. Zapamiętaj moje słowa wszystkie tu będące”...

I urywając dalszą przestrozę, wsadził metalową żerdź do paleniska, zaszurał w nim, wyjął z powrotem i unosząc nieco brodę, poddał się na powrót działaniu ciepłych promieni, Przymknął zupełnie szparki swoich oczu, pozostając w błogim, a zarazem tajemniczym wyrazem twarzy... zacięły, zapadły w drzemkę.

Nam nie pozostało nic więcej, jak wzorując się jego przykładem, rozpełznąć się po całym baraku, by ułożyć się do snu na którejś z prycz ustawionych piętrowo wzdłuż dłuższych ścian, do końca których nie dochodziło nawet światło olejnej lampki, zawieszanej nieopodal wejścia, na słupie wspierającym strop.

Wkrótce ucichło dookoła. Ucichły szeptane rozmowy, skrzyp desek wypełniających nary w miejsce posłania, ucichły ciężkie westchnienia.

Księżyc przez moment wcisnął się przez jedno z okien bladym promieniem, obrzucił nim śpiących i znowu przygasł.

Szczęśliwi, co usnąć mogą. Sen wszystkich jednaką obdarza ulgą... i złych ludzi i dobrych...

Zaciera cierpienia, niweczy radości, pragnienia oddała...
Aż, aż do przebudzenia.---

Eugeniusz Jaworski

Żary

Pracowaliśmy w Awratyniu na fortyfikacjach obronnych Armii Czerwonej

Tuż przy granicy polsko-sowieckiej, zaraz za rzeką Zbrucz, leży miejscowość Awratyn - jedna z twierdz obronnych Armii Czerwonej. Jej budowę rozpoczęto w latach dwudziestych po wyznaczeniu granicy na Zbruczu. Tu byliśmy przy ziemnych robotach w 1944 roku, kiedy front był już przed Wisłą. Władze sowieckie obawiały się, że może dojść do zwrotu frontu i trzeba będzie Polsce oddać ziemie do Zbrucza. I choć front był daleko, to jednak dokończano zabezpieczeń obronnych.

Przedstawiciel "wojenkomatu" ze Zbaraża przyjeżdżał do wioski i wyznaczał, ile "hołowa" ma dać ludzi do dyspozycji i ile furmanek do ich przewozu. I tak było, do naszego "hołowy", którym był Szczepan Markowski przyjechało dwóch "sałdatów" z "wojenkomatu" ze Zbaraża i nakazali dać 20 robotników do prac poza miejscem zamieszkania. Ponieważ już prawie z każdej rodziny ktoś był zabrany do wojska w ramach mobilizacji, albo wcześniej na roboty do Niemiec, nie było już kogo wybrać.

W takich okolicznościach "sałdat" wraz z "hołową" rozpoczął chodzić i sam wyznaczał poszczególne gospodarstwa, które miały dawać robotników do tych prac. Wyznaczone osoby załadowano na dwie furmanki (z Kretowiec) i zawieziono do Zbaraża. Tu niedaleko cmentarza w poszczególnych domach zakwaterowano na noc, by rano wyruszyć dalej. Zabrano też osoby z miasta i innych wiosek. Przydzielono tam strażników, którymi były "sałdaty" i dali jedną Rosjankę.

Z Kretowiec w ciągu więcej niż godzina nazbierano 18 osób. Z wielu rodzin poszły osoby starsze, ale poszli też młodzi chłopcy i dziewczęta. Do tych robót poszli: Biemat Łońca, Bajcer Rózia, Bydzyna Izidor, Machnika Michał, Szczech Franka, Sokalska Franka, Chmurak Piotr, dwóch Wołyniaków oraz kilka innych, a z końmi

był Wawrzku Zebik i jeszcze jeden, którego nazwiska nie pamiętam. Każda osoba miała zabrać ze sobą na siedem dni jedzenia i mocną łopatę. Kto mógł zabrał bochen chleba i słoninę lub smalec, jeżeli miało się w domu, no i gotowane jajka lub trochę sera. I z tym się szło do nakazanego miejsca zbiórki koło Domu Ludowego. Tam czekały dwie furmanki drabiniaste, na które załadowały się z bagażami wyznaczone osoby i wyruszono na trasę do Zbaraża. Nazajutrz załadowano wszystkich na furmanki, których było około siedem i wyruszono w drogę. Trasa prowadziła przez Łubianki Niższe, Nowe Sioło, Koszlaki i dalej do byłej granicy za Zbrucz do Awratynia. Ponieważ noc zapadała, niedaleko Koszlak postanowili "sałaty" przenocować, „powody” z Kretowiec miały wrócić. A nowe wozy miały być spod Skałatu w dniu następnym.

Zakwaterowano nas wszystkich na noc pod strażą na skraju miejscowości w stodole. Nie wolno było się oddalać, a gdyby w nocy były strzały, to trzeba się wg. zarządzenia położyć na ziemi. Był to rok 1944, który był bardzo niebezpieczny, bo bandy UPA dawały znać o sobie. Do byłej granicy było już niedaleko, a do domu bardzo daleko, mimo to niektóre dziewczęta postanowiły pod osłoną nocy uciekać z powrotem do swych rodzin.

Nad ranem, kiedy już wartownicy dobrze usnęły, kilka osób wymyśliło się ze stodoły ze swym bagażem i udało się w drogę powrotną, ale już inną drogą: przez Klebanówkę, Bogdanówkę, Maksymówkę, Czachary, aż do domu w Kretowcach. Jak opowiadała mi Różia Bajcer, uciekły z koleżanką, ale wracały drogami polnymi, bocznymi, żeby nie spotkać jakichś patroli lub banderowców, czego tu nie można było uniknąć. Szły różnymi drogami przez cały dzień, aż do wieczora, kiedy to postanowiły przenocować, by trochę odpocząć przed dalszą drogą. Była to miejscowość niedaleko Suchowic. Na skraju wsi wstąpiły do gospodyni, która była w domu, i poprosiły, czy nie mogą tu przenocować, bo wracają z robót z Awratynia, i że są ze wsi Bogdanówka i że mają jeszcze daleko do domu. Dobrze rozmawiały po ukraińsku, więc gospodyni uznała, że to są Ukrainki i choć nie miała zbyt gdzie, to je przyjęła. Była to rodzina ukraińska. Męża w domu nie było, więc na razie przygoto-

wała im spanie w dużej izbie i ugościła je gorącym mlekiem, a sama krzątała się przy kuchni do późnego wieczora.

Wyglądało to tak, jakby na kogoś czekała i rzeczywiście: w nocy zjawił się jej mąż, uzbrojony, i pyta ją co to są za osoby. Żona odpowiedziała mu że są to dwie Ukrainki z Bogdanówki, które wracają do domu z robót, i chciały do rana odpocząć. Ten w to nie uwierzył. Zaczął się zastanawiać i powiedział do żony, że on to zaraz sprawdzi, zjadł i wyszedł. Dziewczyny słysząc to nie mogły już usnąć. Wstały cichuteńko, zabrały bagaż, podziękowały za pomoc i nocleg i powiedziały, że idą drogą główną. Ale po wyjściu z wioski poszły dalej drogami polnymi, ale już nie w kierunku Bogdanówki, tylko Kretowiec. I tak szczęśliwie wróciły z przeżyтыми przygodami, które mogły zakończyć się tragicznie. Takie były przeżycia podolskich kobiet. Natomiast grupa ta co, przespała się do rana w stodole koło Koszlak, wsiadła na podstawione nowe furmanki ze Skałatu i dalej pojechała do byłej granicy. Gdy już pojechali za Zbrucz, to już czekały "kołchozny powody" i nowi strażnicy zabierając przewiezionych ludzi do dalszej drogi.

Tu zakwaterowano wszystkich po domach, już pod inną strażą. Spanie było ulokowane po domach na materacach z oczeretu¹, tak by wyglądało, że kołchoz nie dawał im słomy, bo i dachy chat pokryte były oczeretem lub termitem.

Tu wszystkich rano sprawdzano i maszerowano na wzgórze, na których ciągnęły się wojskowe transzeje. Przy tych rowach robiono kryte schroniska które nakrywano przywożonymi belami i przykrywano grubą warstwą ziemi. Te okopy ciągnęły się tym wzgórzem około 5 km.

Pracami kierował starszy frontowy major, który był bez lewej ręki. Dla pracujących w czasie przerwy obiadowej dowożono beczkowitzem wodę do picia i do mycia. Prace te trwały 7 dni, po tym czasie podstawiono wozy i tą samą trasą przewieziono nas do Zbaraża, a stamtąd wszyscy rozeszli się do swoich domów.

¹ Oczeret –wodna i bagienna roślina szuwarowa – przyp.red.

Igor Megger
Poznań

Poznański wątek Złoczowskiej masakry z 1919 roku

Czytelniczka „Głosów Podolan” p. Stanisława Puchałowa z Wrocławia (Buczaczanka z redakcji „Głosów Buczaczan”) przesłała nam bardzo ciekawą informację dotyczącą symbolicznego związku z Poznaniem jednej z ofiar masakry Polaków w Złoczowie dokonanej przez Ukraińców w nocy z 26 na 27 marca 1919 roku. Przypomnijmy zarys zdarzeń:

W marcu 1919 roku Podole i ziemia lwowska była terenem walk polsko-ukraińskich. Walki pomiędzy Wojskiem Polskim a wojskiem Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, toczyły się ze zmiennym szczęściem od 1 listopada 1918 do 16 lipca 1919, kiedy to polskie oddziały dotarły do rzeki Zbrucz. To z tego okresu przeszły do historii słynne Orleża Lwowskie oraz Przemyskie, bohaterowie ofensywy czortkowskiej oraz powstańcy polscy z podtarnopolskich Mikuliniec.

Wtedy też Ukraińcy dokonali strasznej rzeczy – morderstwa na polskich niewinnych mieszkańcach Złoczowa. Zamordowano 22 osoby, przed śmiercią je torturując. Wyrok był wykonany za zgodą ukraińskich władz wojskowych. Zdarzenia te barwnie opisuje m.in. prof. Stanisław Nicieja w X tomie „Kresowej Atlantydy”.

Wśród 22 ofiar był Ludwik Lubicz Wolski, syn poetki Marii Wolskiej, a także chrześniak Władysława Bełzy, któremu to zadeedykował słynny wiersz „Katechizm polskiego dziecka”. I tak jak w tym utworze „Coś jej winien? – oddać życie”, tak młody, bo 26-letni Ludwik życie oddał. W chwili śmierci był gospodarzem majątku w podzłoczowskich Perepelnikach, a przyczyną tak wysokiego wyroku był satyryczny wiersz na temat Ukrainy.

Jak wiemy, i nieraz już pisaliśmy, wojska wielkopolskie wyzwały nasze Kresy południowo-wschodnie z rąk ukraińskich. Społeczeństwo z naszych kresowych stron było temu bardzo wdzięczne.

Jeden z takich przypadków opisany został w „Kurierze Poznańskim”, który to wycinek przesłała nam p. Puchała.

[*Źródło: "Kurier Poznański" nr 134 z 13 czerwca 1919 r. Zachowano oryginalną pisownię.*]

Lwów - Poznańczykom.

Podaliśmy pokrótce opis pożegnalnych uroczystości, urządzonych we Lwowie na cześć wojsk wielkopolskich. W związku z tem zanotować winniśmy jeszcze kilka szczegółów. Mianowicie szczerze, do głębi wzruszającym jest następujące pismo pp. Wolskich, których syn, śp. Ludwik, padł ofiarą bestialstwa Ukraińców. Pismo to, odczytane na wieczorze pożegnalnym, opiewa:

Poznaniowi w holdzie.

W dniu swoich chrzcin, w r. 1895, syn nasz śp. Ludwik Wolski, otrzymał był w darze od swej Babki, Karolowej Wandy Młodnickiej z domu Monné, dwa słynne kartony Artura Grottgera, poświęcone przez artystę dziatwie polskiej: "Na chórze" i "U grobowca Kościuszki". Ponieważ syn nasz zaznaczał niejednokrotnie i z naciśkiem, że rysunki te przeznacza jako własność Narodu, dla któregoś z polskich Muzeów, my – z przekonaniem najgłębszem - wypełnić pragniemy obecnie jego wolę. Zginął śmiercią okrutną i ofiarną za to, iż do ostatniego tchu wyznawał swą polskość i prawa polskie do świętego strzępa Ziemi, zwanej ongiś Czerwieńską.

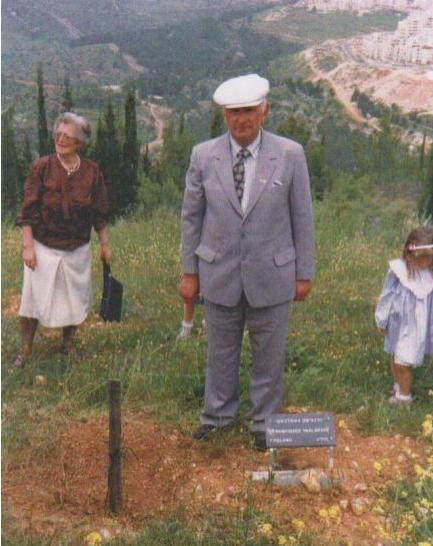
Dla wdzięcznego uczczenia umiłowanych, walecznych, wiernych Braci naszych Wielkopolan, którzy na ratunek tej właśnie ziemi podążyli i do oswobodzenia jej od dzikiej nawały dopomogli, dla uczczenia bohaterów poznańskich poległych i żywych, oba te dzieła sztuki, spuściznę tę pamiątkową, przez syna naszego Narodowi polskiemu przeznaczoną, oddajemy na rzecz miasta Poznania. Poseł Korfanty, na którego zasłużone ręce dar ten dziś zgłaszamy, raczy w swoim czasie oznaczyć właściwe dla niego miejsce.

Wacław i Marja Wolscy. Lwów, w czerwcu 1919.

Charlotte Pothuizen

Podolanie „Sprawiedliwi Wśród Narodów Świata” Cz. X– rodzina Pasławskich

Przedruk ze strony: www.sprawiedliwi.org.pl



*Franciszek Pasławski i Bina Tischler
sadzą drzewko w Yad Vashem*

Franciszek Pasławski, urodzony w 1922 r., mieszkał z rodzicami i młodszym rodzeństwem we wsi Dobrowody, nieopodal Buczacza, w województwie tarnopolskim. Jego rodzina należała do szlachty zagrodowej. W tej wsi mieszkało bardzo niewiele Żydów. Inaczej było w Buczaczu, gdzie uczęszczał do gimnazjum. Jedną z jego żydowskich koleżanek była Bina Salzman, zaś jej ciotka Regina Zuhler uczyła tam języka niemieckiego.

Po ostatniej akcji likwidacyjnej w getcie w Buczaczu w czerwcu 1943 r. Regina Zuhler oraz jej siostra Mina Salzman z córką Biną przez wiele miesięcy ukrywały się u okolicznych chłopów. Po wkroczeniu Armii Czerwonej 23 marca 1944 r., tak jak inni pozostali przy życiu Żydzi, wyszły z ukrycia, jednak zakończony powodzeniem niemiecki kontratak spowodował, że ponownie znalazły się w niebezpieczeństwie. Wraz z innymi kobietami miały zostać wywiezione do obozu pracy na terenie Rzeszy.

W obawie przed rozpoznaniem uciekły z transportu na stacji Monasterzyska i skierowały się do wsi Dobrowody, gdyż jedna z kobiet przypominała sobie o mieszkającym tam znajomym. Franciszek Pasławski przedstawił je rodzinie jako znajome z Buczacza,

które utraciły swoje domy w wyniku działań wojennych. Tę samą historię opowiedział sąsiadom. Kobiety, które nie posiadały żadnych dokumentów, by się nie wyróżniać, ubrane zostały w stroje typowe dla mieszkanki wsi.

Tak dotrwały do lipca 1944 r. Opiekowali się nimi rodzice Paślawnego, gdyż on sam jako AK-owiec musiał uchodzić z tego terenu przed grożącymi mu śmiercią Ukraińcami. Znalazł się w Kieleckiem i wstąpił do tamtejszego AK. Przed wyjazdem wyjawiał rodzicom tożsamość swoich znajomych.

Franciszek Paślawnski mówił w wywiadzie dla Muzeum Historii Żydów Polskich o opiece nad rodziną żydowską z Krakowa, która wyposażona w „aryjskie” dokumenty w 1942 r. znalazła zatrudnienie w majątku ziemskim, w którym pracował. To zlecenie miał otrzymać od Armii Krajowej, do której należał.



Dyplom „Sprawiedliwego Wśród Narodów Świata” F. Paślawnego

odwiedził je w Izraelu w połowie lat 70.

Po wojnie Franciszek Paślawnski złożył egzamin maturalny, a następnie ukończył architekturę w Gdańsku i pracował przy odbudowie tego miasta. Od lat 90. mieszkał pół roku w Kanadzie i następne pół roku w Polsce. Regina Zuhler, Mina i Bina Salzman niedługo po wojnie wyjechały z terenów przyłączonych do ZSRR. Mieszkały w Krakowie, gdzie doszło do przypadkowego spotkania z Franciszkiem Paślawnskim, potem wyemigrowały do Izraela. Wzajemne kontakty urwały się, aż do połowy lat 60., kiedy to uratowane kobiety odnalazły Polaka. Paślawnski

Od redakcji: Franciszek Pasłowski tytuł „Sprawiedliwego Wśród Narodów Świata” otrzymał w 1976 roku. Bohater artykułu zmarł w 2019 roku w Kanadzie. Wspomnienie pośmiertne zamieściliśmy w 150 numerze „Głosów”.

*Alicja Kocan
Barbara Charewicz-Wiśnicka
Warszawa*

Rozmowa dwóch Kresowianek

Przedruk z: Lwowski Biuletyn Informacyjny nr 2(87)/2018

Alicja Kocan: Poznałyśmy się w latach dziewięćdziesiątych podczas społecznej działalności w Towarzystwie Miłośników Lwowa. Zawsze interesowały mnie Twoje wspomnienia z wojennej wędrówki po Podolu. Twoje korzenie rodzinne wywodzą się z majątku położonego na Wołyniu.- Basiu, czy możesz mi powiedzieć coś na temat Twojej rodziny?

Barbara Charewicz-Wiśnicka: Tułaczka mojej rodziny rozpoczęła się w pamiętnym wrześniu 1939 roku, kiedy to musieliśmy, po wtargnięciu Sowieców w granice naszego państwa, opuścić nasz majątek na Wołyniu. Opowiem kilka słów historii z tamtego okresu. Otóż rodzina mojej mamy ze strony ojca, Olgi z Rybczyńskich, wywodzi się z Bereznego, Szubkowa i Pieczalówki na Wołyniu. Po upadku Powstania Styczniowego, majątki: Szubków i Karłowszczyzna oraz kilka innych, zostały skonfiskowane przez carskiego zaborcę, a mojego prapradziadka, Tadeusza Dzierzbickiego za udział w Powstaniu zesłano Sybir, między innymi do Tobolska. Po kilku latach zesłania, powrócił i niebawem zmarł.

Natomiast rodzina ze strony matki, czyli mojej babki, baronówny Oktawii von Stein, rozpiezchła się po świecie i słuch po niej zaginął. Było to również po Powstaniu Styczniowym. Gdy wy-

buchła I wojna światowa, moja mama miała 11 lat i była uczennicą w Instytucie Maryjnym, szkole dla dobrze urodzonych, w Kijowie. Tam również jej ojciec, a mój dziadek miał dobrze prosperującą kancelarię adwokacką, gdyż jak wspomniałam, majątki zostały skonfiskowane już dawno.



Majątek Szubków

Po wybuchu rewolucji w 1917 roku, moja mama wraz ze starszą siostrą i jej mężem wyjechali na Kubań, do Krasnodaru. Tam przeżyli całą bolszewicką rewoltę. W 1921 przyjechali do kraju i zamieszkali w Łapach, gdzie siostry miały aptekę.

Kiedy w początkach lat trzydziestych zaistniały możliwości odzyskania choć części z utraconego majątku, natychmiast wszczęto postępowanie sądowe i już w 1933r. rodzina, to jest trzy siostry i brat, otrzymali od Skarbu Państwa ok 950 ha ziemi z majątków Szubków i Karłowszczyzna, do podziału na czworo spadkobierców. Natomiast dwór w Szubkowie, siedziba naszych przodków, nie stanowił obiektu roszczeń, gdyż już w 1924r. wraz ze sporym arealem ziemi, został przekazany na Szkołę Rolniczą, która świetnie prosperowała, aż do wybuchu II wojny światowej.

A.K.: Jakie były Wasze losy po ucieczce z majątku Krystynówka?

B.CH-W.: Na odzyskanej ziemi powstały cztery majątki: Jastrzębce, Dzierzbice, Starżyn i nasza Krystynówka, wspaniale zagospodarowana i wzorowo prowadzona przez właścicieli. Reszta ziemi z naszych majątków rodzinnych została już w latach dwudziestych rozparcelowana i otrzymali ją osadnicy wojskowi. W ten sposób powstały osady: Hallerowo, Bojanówka oraz Krehowiecka

i Jazłowiecka, które dzięki ciężkiej pracy ich właścicieli pięknie się rozwijały.



Polowanie w majątku Krystynówka – 1937 r.

Żyliśmy więc spokojnie i dostatnio aż do czasu wtargnięcia Sowieców w nasze granice. Wtedy to niebawem musieliśmy, jak zresztą wielu ziemian, uciekać z naszego majątku nie zabierając prawie niczego. Mama była sama, ojciec na wojnie, a nas trójka dzieci, w tym najmłodsze czteromiesięczne, bardzo utrudniało logiczne działanie i decyzję co zabrać, tym bardziej, że pilnowano, aby za dużo nie łądowano na bryczkę, która miała nas odwieźć do Równego. Pierwszym etapem wędrówki było właśnie Równe.

Zatrzymaliśmy się u wujka, który był lekarzem i miał prywatny gabinet oraz mieszkanie w tym mieście. Notabene, został zesłany przez Sowieców do Workuty i gdy już w 1942 r. był w Karagandzie, żeby zaciągnąć się do Armii gen. Andersa, zmarł na tyfus. Gdy tylko ojciec nas odnalazł, wyjechaliśmy do Lwowa. Był to koniec października lub początek listopada 1939 roku. Stało się tak dlatego, gdyż bezpieczniej było przebywać jak najdalej swego majątku. Niebawem zresztą został on doprowadzony do ruiny, podobnie jak inne siedziby ziemiańskie na tych terenach, oraz gospodarstwa osadników. Te zostały również, lecz trochę później zniszczone.

We Lwowie przeżyliśmy okropny głód, zmuszający moich rodziców do wyprzedazy prawie wszystkiego, co ze sobą mama

zabrała. Bardzo niewiele z tego okresu pozostało mi w pamięci, gdyż miałam trochę ponad trzy lata. Duże wrażenie zrobiła na mnie jazda tramwajem. Pierwszy raz w życiu jechałam z mamą tym pojazdem właśnie we Lwowie.

Ponieważ we Lwowie trudno było wyżyć, wyjechaliśmy wiosną 1940 roku do małej miejscowości Pustomyty. Warunki mieliśmy trudne, gdyż domek, w którym zamieszkaliśmy nie bardzo nadawał się do tego celu. Dopóki było ciepło, to pół biedy, lecz gdy nastaly mrozy, na ścianach pojawił się szron, trzeba było szukać innego lokum. A że w pobliżu mieszkały zakonnice, więc ze względu na małe dzieci, zaproponowały nam gościnę w swoim domu. Przenieśliśmy się więc do sióstr zakonnych i do wiosny 1941r. przebywaliśmy w przyzwoitych warunkach. Potem wyjechaliśmy do Radwana, gdzie ojciec dostał pracę w gorzelnii. Było to jeszcze pod okupacją sowiecką. Przebywaliśmy tam do końca sierpnia 1941 roku. Gdy przyszli Niemcy, ojciec jako rolnik z wykształcenia, dostał pracę zarządcy majątku Ujejszczyzna (własność brata poety, Kornela Ujejskiego), który był opuszczony przez prawowitych właścicieli, zmuszonych do ucieczki przed bolszewią.

Na niewielkim wzgórzu stał piękny dwór jeszcze nie zupełnie zdewastowany – głównie przez miejscową ludność oczywiście. Wprowadziliśmy się, zajmując kilka pokoi prawie pustych. Tak oto zamieszkaliśmy w tej pięknej posiadłości. Parku chyba nie było, a może był bardzo przetrzebiony, tego nie pamiętam. Za to na stokach wzgórza rozciągał się piękny i rozległy sad. Na tyłach domu rósł cudowny włoski orzech, bardzo duży i rozłożysty. Gdy nastaly upały, sypialiśmy pod nim razem z tatą, jakaż to była frajda dla dzieci. Za sadem, w dole, rosły bardzo wysokie topole i inne drzewa, na których wiosną wily sobie gniazda niezliczone stada gawronów, a wiejskie dzieciaki wdrapywały się na te drzewa i je zrzucały na ziemię, często z wyklutymi już piskletami. Zrozpaczone ptaki z głośnym krakaniem fruwały nad naszymi głowami. Natomiast zimą porą, pasjami lubiliśmy słuchać opowieści nadprzyrodzonych, które w długie wieczory snuły miejscowe kobiety, pracujące w majątku, a odbywało się to w kuchni bardzo dużej i ciepłej. Baja-

ły o duchach na cmentarzu, strzygach i różnych innych okropnościach. Z zabudowań pamiętam dobrze lodownię, która znajdowała się koło domu, a była to głęboka piwnica do której zimą zwożono lód, co umożliwiało przechowywanie przez cały rok różnego rodzaju wiktuałów, aby się latem nie popsuly. Trzymano tam między innymi jajka, masło, słoninę, wyroby masarskie, wędzone i solone, jeśli takowe były, bo różnie z tym bywało. Na jesieni zaś chowano tam solone rydze w beczułce. Często zaglądaliśmy do tej piwnicy, zwłaszcza, gdy panowało gorąco.

Kolejnym naszym miejscem pobytu był majątek Krogulec, niegdyś własność Horodyskich i chyba również Potockich. Oczywiście prawowici właściciele musieli uciekać z własnego domu po wkroczeniu bolszewików. Ponieważ była to już jesień, a przeprowadzka odbywała się wozami, więc koła zapadały się po osie, gdy jechaliśmy rozmokłymi wiejskimi drogami. Pałac był oczywiście ograbiony, lecz nie całkiem zdewastowany. Zamieszkaliśmy w tej części, która do tego się nadawała. Doprowadziwszy kilka pokoi do stanu używalności, wprowadziliśmy się z całym naszym dobytkiem. Pałac usytuowany był w niezbyt jeszcze przetrzebionym, pięknym niegdyś parku. Tu też opodal domostwa znajdowała się niewielka kapliczka z grobami przodków dawnych właścicieli.

Ciekawostką były pawie, które pierwszy raz w życiu widziałam. Chodziły dumnie z rozpostartymi kolorowymi ogonami, jakby zdziwione, że ocalały z pogromu całej posiadłości. Latem przyjechały do nas dwie dziewczynki, pochodzenia żydowskiego i przez pewien czas przebywały razem z nami. Były to córki jednego z naszych znajomych, który ukrywał się w różnych miejscach tych okolic. Ponieważ moja mama zawsze starała się pomagać ludziom, więc aby bronić młodych przed przymusowymi robotami do Niemiec, zatrudniała ich w gospodarstwie, co uchroniło przed wywózką.

Zimy w tych stronach były piękne, mroźne i śnieżne, a Boże Narodzenie było takie jak należy. W 1942 roku, Święta pamiętam dobrze, a to z powodu ryb. W tym majątku były piękne stawy i na Święta odławiano różne gatunki ryb, nie tylko karpie, ale i szczupaka.

ki, liny, leszcze oraz przeróżne inne, których nazw nie pamiętam. Srebrzyły się pięknie w baliach do których je wrzucano. A uciechy przy tym było co niemiara. Jednakże w 1943 roku we wrześniu wszystko się skończyło, bo miejscowi Ukraińcy za bardzo zaczęli się nami interesować. Chociaż trzeba przyznać, że koegzystencja z miejscową ludnością była zupełnie poprawna. Zapraszano nas na wesela wiejskie oraz na inne uroczystości. Kiedyś wracaliśmy z takiego zaproszenia do sąsiedniej wioski i musieliśmy przejechać furmanką przez bród na rzece. Wesela zupełnie nie pamiętam, ale tę przeprawę bardzo dobrze. Coraz bardziej nasilały się wrogie poczynania w stosunku do nas Polaków. Ostrzeżeni przez zaprzyjaźnionych ludzi co do intencji miejscowych band, musieliśmy z dnia na dzień uciekać do pobliskiego miasteczka Kopyczyńce. Niebawem dowiedzieliśmy się, że teje właśnie nocy został spalony pałac.

W Kopyczyńcach przebywaliśmy do końca sierpnia 1944r. Było to niewielkie, kresowe miasteczko, gdzie połowa mieszkańców, to byli Żydzi, których Niemcy wymordowali w miejscowym getcie. Rodzice wynajęli niewielkie mieszkanie w niedużym dwurodzinnym domku, w którym, jak się później dowiedzieliśmy, właściciele na strychu przechowywali rodzinę żydowską. Warunki egzystencji były ciężkie. Tutaj zachorowałam na zapalenie płuc. Dostyc długo to trwało nim wreszcie mogłam wstać i chodzić o własnych siłach. Rodzice wysłali mnie do zaprzyjaźnionego proboszcza, ks. Kazimierza Kozłowskiego do Wasylkowiec. Na tej plebanii odkarmiono mnie solidnie. Do dziś pamiętam smak ogórków kiszonych ze wspaniałym lipowym miodem. Były pyszne. Z mocniejszych wrażeń – to była kraksa, którą mieliśmy jadąc do proboszcza, do Wasylkowiec. Na dość wysokim nasypie konie się spłoszyły i przekoziółkowałyśmy razem z bryczką w dół na łąkę. Lądowanie, na całe szczęście, było dosyć miękkie chociaż groźnie to wyglądało, lecz nikomu nic się nie stało. Za to strachu było co niemiara.

Przez Kopyczyńce przetaczał się front i kilka dni przesiedzieliśmy w ziemiance, wykopanej za domem. I znowu byliśmy pod panowaniem Sowietów. W czerwcu 1944 roku byliśmy u Pierwszej Komunii Świętej, po której na plebanii było skromne

przyjęcie dla wszystkich dzieci pieczołowicie przygotowywane przez nasze mamy.

W tymże 1944 r. pod koniec sierpnia musieliśmy uciekać z Kopyczyniec, gdyż ojciec nasz ostro zareagował na wiadomość, że wojska sowieckie nie idą na pomoc płonącej i walczącej Warszawie. Naraził się okropnie Sowietom. Niebezpiecznie zrobiło się również u naszej znajomej, majorowej, która też musiała uciekać z Kopyczyniec. Jechaliśmy więc razem dużą ciężarówką, przykrytą plandeką i załadowaną naszymi rzeczami. Wiózł nas Rosjanin, wojskowy zresztą, przekupiony kanistrem samogonu. Atmosfera była niesamowita. Musieliśmy zachowywać się bardzo cicho, pochowani wśród naszych rzeczy.

Jechaliśmy nocą i od czasu do czasu zatrzymywano ciężarówkę do kontroli. Jednakże kierowca zupełnie dobrze sobie radził z tymi przeszkodami i bez większych perturbacji dowieźł nas do celu. Kolejnym etapem naszej wędrówki było miasto Złoczów. Większe od Kopyczyniec, zielone i ładnie położone. Zamieszkaliśmy w małym domku niedaleko bardzo pięknego cmentarza, odwiedzanego przez nas często za sprawą marmurowych pomników, które chodziliśmy oglądać.

W Złoczowie rozpoczęliśmy naukę w szkole powszechnej, gdyż dotychczas uczyliśmy się w domu. Lekcje dawała nam przyzywana wojenna ciocia (Lwowianka, zresztą od Lwowa z nami wędrująca, nazywała się Ludwika Hasiak i była pielęgniarką w Brzuchowicach), czegoś nasza mama też nas uczyła. Kiedy poszłam do szkoły pierwszy raz, to wracając do domu po lekcjach zgubiłam się zupełnie i dopiero siostra odszukała mnie na jednej z uliczek, okropnie zapłakaną.

W Złoczowie byliśmy w takim wieku, kiedy choruje się na dziecięce choroby. No i całej naszej trójce przydarzyła się odra, leżeliśmy więc w zaciemnionym pokoju i okropnie nam się nudziło, ale w nocy bywały atrakcje w postaci „prawierki dokumentów”, w których lubowali się Sowietci. Wymuszało to odpowiednie postępowanie rodziców, zapraszali więc znajomych i grano w brydża, niekiedy całą noc w oczekiwaniu na nieproszonych gości.

Mieszkaliśmy w Złoczowie aż do dnia wyjazdu w czerwcu 1945 roku. W połowie miesiąca załadowaliśmy się do wagonów towarowych i po tygodniu czy dwóch (nie pamiętam dokładnie) przybyliśmy do Rept Starych koło Tarnowskich Gór, na Górnym Śląsku. Po roku przenieśliśmy się na Dolny Śląsk. Ale to już zupełnie inna historia.

A.K.: Po tylu latach, co możesz powiedzieć o przeżyciach w czasie wojny?

B.CH-W.: Wspomnienia moje są w większości beztrioskie, pomimo okropności wojny, których rodzice starali się nam jak mogli, oszczędzić. Wszystkie te przenosiny były dla rodziców bardzo uciążliwe i czasem niebezpieczne. Jednakże dzieci patrzą na to zupełnie inaczej i każda przeprowadzka stanowiła dla nas nowe, ciekawe przeżycie i odkrywanie innych światów. My, dzieci nieświadome niczego, przeżywaliśmy ciągle jakąś przygodę. Po latach, gdy opowiadam te wspomnienia, wyławiam z pamięci wyłącznie dobre momenty mojego dzieciństwa, a smutne gdzieś ulatują i nie będę za nimi tęskniła.

A.K.: Dziękuję za rozmowę.

Jerzy Miller

Poznań

Zapomniani pisarze z Podola

Cz. X – Tadeusz Borowski (1922-1951)

Borowski Tadeusz - poeta, prozaik, publicysta, urodził się w 1922 roku w Żytomierzu. Po "repatriacji", a właściwie wymianie więźniów, w 1932 roku rodzina Borowskich osiedliła się w Warszawie. Maturę zdał podczas okupacji (1940) na tajnym komplecie, rozpoczął studia polonistyczne w podziemnym Uniwersytecie Warszawskim.

W 1943 r. zostaje aresztowany i uwięziony na Pawiaku, skąd trafia do Oświęcimia. Do zakończenia wojny więziony w różnych obozach, wyzwolenie spotyka go na terenie Niemiec, gdzie rozpoczyna działalność wśród Polaków tam zamieszkałych.



Po powrocie do Polski w 1946 kończy studia polonistyczne i rozpoczyna współpracę z redakcjami „Świat Młodych”, „Nurt”, „Rzeczpospolita”, „Nowa Kultura”. W 1949 wyjeżdża do Berlina, gdzie pracował w Polskim Biurze Prasowym do śmierci.

Debiutował jako poeta cyklem "Gdziekolwiek ziemia" (1942 wyd. konspiracyjne). W wierszach obozowych w tzw. powojennym "okresie monachijskim" twórczości, przedstawił diagnozę upadku i reifikacji człowieka. W cyklu opowiadań „Pożegnanie z Marią” i „Kamienny Świat” w przejmujący sposób ukazał upadek człowieka w warunkach obozu koncentracyjnego, kryzys ideałów etycznych w totalitarnym systemie masowej zagłady. W późniejszych opowiadaniach treść publikacji zmierzała w stronę propagowania realizmu socjalistycznego.

Jednak to trauma obozowa stała się najbardziej docenianym, przez historyków literatury, tematem w jego twórczości. Utwory Borowskiego były tłumaczone na kilka języków obcych m.in. angielski, niemiecki, francuski czy rosyjski, były ekranizowane (A. Wajda– *Krajobraz po bitwie* (1978), a mimo to, nie jest on twórcą powszechnie znanym, choć szkoda. Borowski Tadeusz umiera młodo, bo zaledwie w wieku 29 lat, 3 lipca 1951r. na skutek próby samobójczej, do której bez wątplenia przyczyniły się przeżycia obozowe. Autor opowiadania „Proszę państwa do gazu!” zakończył życie trując się gazem z piekarnika w swoim mieszkaniu.

Krystyna Mołodyńska
Legnica

Kilka zdań o monografii Czernelowa Mazowieckiego koło Tarnopola

Urodziłam się trzy lata po zakończeniu II wojny światowej. Mam kresowe korzenie. Moi rodzice i dziadkowie do 1945 roku mieszkali we wsiach Smykowce i Czernelów Mazowiecki, położonych kilka, kilkanaście kilometrów na wschód od Tarnopola, obecnie na Ukrainie...

Temat dzieciństwa i młodości rodziców, a tym samym życia w okresie międzywojennym i w czasie wojny na Kresach nie był mi całkiem obcy, ale też nie interesowałam się zbytnio kresową przeszłością przodków.

Dopiero fakt zamieszkania w 2001 roku mojej mamy razem z nami w Legnicy i bardzo częste opowiadanie o Czernelowie, następnie napisanie przez mamę w 2007 roku obszernych wspomnień o kresowej rodzinie, o życiu w tamtych stronach spowodował najpierw moje i mego męża zainteresowanie genealogią, a potem narodził się pomysł napisania opracowania o Czernelowie, rodzinnej wsi mojej mamy.

Był to okres, kiedy we wspomnieniach i amatorskich opracowaniach historia rodziny i tematyka kresowa zaczynały być "modne". Z zamiarem napisania monografii wsi w 2011 roku nosił się Andrzej Rajfur, który zbierał materiały o Czernelowie: zdjęcia, dokumenty, rozmawiał z byłymi mieszkańcami. Gdy pod koniec 2013 roku dowiedziałam się, że Andrzej Rajfur nie zaczął pisać monografii Czernelowa Mazowieckiego zaproponowałam, że możemy wspólnie przygotować opracowanie o wsi naszych przodków. Chciałam w sposób trwały zachować dla potomków Czernelowian rozproszoną w czernelowskich rodzinach wiedzę i pamięć o kresowej przeszłości.

Od początku miałam koncepcję, by na tle wydarzeń historycznych przybliżyć mikro historię miejsc i historię ludzi z tym

regionem związanych. Od początku chciałam też w jak największym stopniu bazować na wspomnieniach byłych mieszkańców wsi.

Czernelów Mazowiecki to była duża wieś położona niedaleko Tarnopola. Na tle innych wsi, poza zdecydowanym polskim charakterem społeczności, nie wyróżniała się niczym szczególnym. Tak jak w wielu wsiach na Podolu był w niej kościół na wzgórzu, duży folwark, młyn, szkoła, dom ludowy ze sklepem i mleczarnią, płynęła rzeka. Ale dla ludzi, którzy tam urodzili się i mieszkali, miała wartość nadzwyczajną, była ich małą ojczyzną, najpiękniejszą, jaką znali od dziecka i najukochańszą, bo towarzyszyła im od najwcześniej zapamiętanych lat. O pięknym jej położeniu nad Gniezną Czernelowianie opowiadali swoim dzieciom i wnukom. Tę wieś, swoją przystań, w wyniku zawirowań wojennych nie ze swego wyboru utracili. Tęsknota z powodu utraty małej ojczyzny wielu z nich towarzyszyła do końca ich życia.

Jak wspominałam, chciałam utrwalić pamięć o Kresach w oparciu o wspomnienia. Zaczęłam od wystosowania apelu do byłych mieszkańców Czernelowa Mazowieckiego i ich rodzin w poszukiwaniu pamiętek i apelu o współpracę przy przygotowaniu zbiorowego opracowania pt. *Czernelów Mazowiecki i okolice*. Apel przekazałam na prowadzoną wtedy stronę internetową www.czernelowmazowiecki.pl. Zwróciłam się również z bezpośrednią prośbą do znanych mi osób o czernelowskich korzeniach, by w swoich wsiach według określonego schematu (przygotowałam pytania) przeprowadzili rozmowy - wywiady z żyjącymi starszymi Czernelowianami na tematy związane z życiem w Czernelowie w okresie międzywojennym i w czasie wojny. Poprosiłam też w miarę możliwości o napisanie przez nich wspomnień.

Początkowo odzew był mniejszy niż się spodziewałam się ale „po nitce do kłębka” drążąc temat w kolejnych miesiącach, a potem już latach, dzięki życzliwości i pomocy wielu zaangażowanych potomków Czernelowian, wykorzystując pocztę elektroniczną i tradycyjną, prowadząc rozmowy telefoniczne i bezpośrednio udało się pozyskać dużą ilość informacji na określone tematy związane z życiem, zwyczajami, emigracją, przeżyciami w czasie wojny i w

czasie pokoju. Udało się zgromadzić ogromną liczbę skanów dawnych fotografii, dokumentów, zdjęć różnych przedmiotów związanych z tą wsią i z przesiedleniem, czyli rzeczy, które zabrali z Czernelowa, gdy wyjeżdżali na Ziemię Zachodnie w 1945 roku.

Równolegle prowadziłam też poszukiwania materiałów dotyczących historii ziemi czernelowskiej: pod hasłami internetowymi, w bibliotekach cyfrowych, w bibliotekach tradycyjnych, czasopiśmie kresowych. Szybko też okazało się, że niemożliwe jest skupienie się na samym Czernelowie Mazowieckim. Poprzez powiązania rodzinne, przemieszczenia ludności, przenikanie się środowisk, położenie we wsi kościoła parafialnego, mieszkańcy byli bardzo związani z mieszkańcami sąsiednich wsi. Informacje o okolicznych wsiach: Borkach Wielkich, Stupkach, Czernelowie Ruskim czerpałam również z popularnych w tym czasie monografii wydawanych w Ukrainie.

Już na początku moich poszukiwań, bo w styczniu 2014 roku ustaliłam, że do wrocławskiego Ossolineum do Działu Rękopisów kilka lat wcześniej zostały przekazane wspomnienia Leona Bogoryja Podleskiego, ostatniego właściciela majątku w Czernelowie Mazowieckim. Co prawda zmarły w 1948 roku Leon Podleski nie zdążył już napisać wspomnień o samym Czernelowie i ludziach z Czernelowa, ale uzyskałam wspaniałe źródło informacji o rodzinie Podleskich od 1860 roku związanej z Bajkowcami i Czernelowem. Było też kilka cennych zdjęć rodziny Podleskich.

Ważnymi dla pozyskania informacji z historii ziemi czernelowskiej były opracowania Jana Bauera, Aleksandra Czołowskiego, Akta Grodzkie i Ziemskie.

Potem natrafiłam na materiały z Archiwum Skazinieckiego i dzięki temu mogłam prześledzić losy powiązanych z Czernelowem rodzin Dawidowskich i Markowskich. Ciekawym poznawczym źródłem informacji był biogram Stanisława z Dawidowa h. Wilczekosy autorstwa Macieja Wilamowskiego.

W kolejnych latach dzięki przychylności potomków Czernelowian otrzymałam listy, oryginały, kserokopie lub zapis cyfrowy wspomnień żołnierskich i nie-żołnierzy, ale z uwagi na czas, w

którym żyli, też dotyczące wojny, przesiedlenia na Zachód. Korzystałam z kilku artykułów i wywiadów udzielonych dziennikarzom przez byłych mieszkańców Czernelowa oraz byłych mieszkańców sąsiadujących z miejscowością wsi.

Ich rozmowy zostały zapisane w dostępnych w Internecie wydaniach prasy regionalnej – zielonogórskiej, gryfińskiej i chojeńskiej. W formie książkowej miałam dostęp do wspomnień Tadeusza Nowaka-Cieplaka, Ferdynanda Matuszka, Bronisława Czeczaka-Góreckiego. Wzmianek o udziale czernelowian w wojnie szukałam w książkach Leona Lubeckiego i innych pisarzy popularyzujących historię berlingowców, II Armii Wojska Polskiego, Armii Andersa.

Nieocenioną i inspirującą dla końcowych efektów opracowania, zwłaszcza w części dotyczącej „spóźnionej repatriacji” i powojennej historii Czernelowa - Sobornego była współpraca z panem Zbigniewem Woźnym, który dostarczył dużą liczbę skanów zdjęć, dokumentów, wspomnień, a w końcu sam podjął się przygotowania kolejnego opracowania o Czernelowie i Sobornem.

Pozyskanie tych materiałów, a zwłaszcza wspomnień, pozwoliło mi przygotować obszerne opracowanie o ziemi czernelowskiej, o Czernelowie Mazowieckim i okolicach według mojego pierwotnego zamysłu: historia wsi, kościoła i rodziny Podleskich, życie mieszkańców w okresie międzywojennym, w tym emigracja, życie mieszkańców w czasie wojny, w tym w czasie pierwszej okupacji sowieckiej, okupacji niemieckiej, po drugim wkroczeniu Rosjan, wywózki na Sybir, na roboty do Niemiec, zagłada Żydów w obozie w pobliskich Stupkach, udział Czernelowian w działaniach wojennych i straty, w tym czasie Powstania Warszawskiego i na szlaku I Armii Wojska Polskiego, samoobrona przed napadami band UPA i wreszcie przesiedlenie Polaków z Czernelowa Mazowieckiego na Zachód i Ukraińców z terenów południowo-wschodniej Polski na Wschód – do Czernelowa.

Opracowanie składa się z czterech części:

Część I Historia... opowiada, na ile to możliwe, historię ziemi czernelowskiej i Czernelowa Mazowieckiego od około 1410 do 1920 roku,

Część II Czernelów w międzywojniu, lata 1920-1939

Część III W czasie wojny i okupacji, lata 1939-1945

W Części IV Przesiedlenie na Zachód podjęto próbę ustalenia przemieszczenia czernelowskich rodzin na Zachód do trzech głównych skupisk: na Dolnym Śląsku, Pomorzu Zachodnim i Ziemi Lubuskiej, a także opisano losy wsi po wojnie.

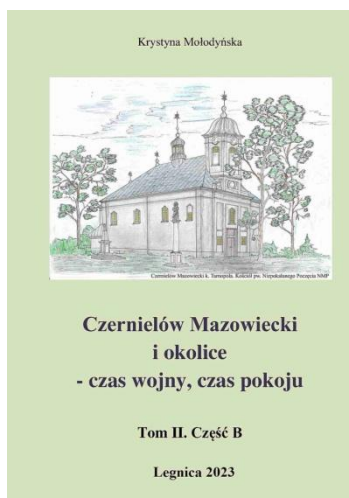
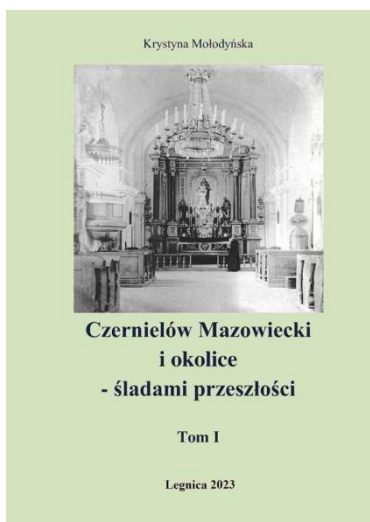
W wersji papierowej monografia została przygotowana w dwóch tomach:

Tom I – *Czernelów Mazowiecki i okolice- śladami przeszłości*, 2015 r.

Tom II, cz. A i B – *Czernelów Mazowiecki i okolice- czas wojny, czas pokoju*, 2019 r.

Czernelów Mazowiecki- Soborne koło Tarnopola- to miejsce, wspomnienia i pamięć o przeszłości, która była udziałem polskich mieszkańców, to teraźniejszość mieszkających tam Ukraińców, w tym Łemków. To także miejsce, gdzie została mogiła pradiada.

Kolejny raz dziękuję wszystkim, którzy pomogli mi przygotować opracowanie o Czernelowie Mazowieckim koło Tarnopola. Bez udziału i zaangażowania wielu Czernelowian i ich potomków opracowanie tak różnorodnych tematów i w takiej formie byłoby niemożliwe i nieosiągalne.



Jerzy Miller
Poznań

Kresowa Atlantyda tom XIX - czy warto przeczytać?

Uważam, że zawsze warto czytać, rozmawiać o utraconych wschodnich Kresach Rzeczypospolitej.

W kwietniu br. na półkach księgarń pojawił się kolejny, XIX tom „Kresowej Atlantydy” prof. Stanisława Niciejki. Prezentuje on kolejne miasta kresowe: Żółkiew, Mosty Wielkie, Brody i Czortków.

Jak zawsze kolejny tom cyklu prezentuje wysoki poziom edytorski okraszony unikatową ikonografią, a także zawiera (co cenne w pozycjach naukowych) indeks nazwisk oraz bibliografię.

Na początku niniejszego tomu autor publikuje ważny esej zatytułowany „O kresomanii i kresofobii” polemizując z profesorem Sorbony Danielem Beauvois prowadzącym w Polsce walkę z panującą w Polsce (wg. jego opinii) „kresomanią”. Przyłącza się on do atakowania dziedzictwa Kresów, tak cenionego wśród Polaków mających korzenie kresowe.

Ten francuski profesor z dumą przytacza list Olgi Tokarczuk, która między innymi pisze (podzielając poglądy Beauvoisa): „Kolokwialnie mogłabym powiedzieć, że ozdrowieńczo przemblowuje Pan polską głowę”.

Można tu przypomnieć, jak w 1990 r. Roman Duda jako senator był inicjatorem uchwały Senatu RP potępiającego „Akcję Wisła”. Na szczęście są to nieliczne przykłady stwierdzające o brakach świadomości historycznej.

XIX tom „Kresowej Atlantydy” zawiera szereg wspomnień, życiorysów wybitnych Kresowian, ilustrowany unikatowymi fotografiami.

A tak na marginesie – osobiście nie jestem zwolennikiem użycia w tytule słowa „Atlantyda”, gdyż dla mnie Kresy nie zostały zatopione, chociaż są one utracone dla Rzeczypospolitej, istnieją w naszej pamięci. To dzięki licznym wydawnictwom, organizacjom

kresowym, dziedzictwo kulturowe Kresów jest naszą dumą narodową.

Gorąco namawiam Kresowian – czytelników „Głosów Podolan” do lektury nowego tomu „Kresowej Atlantydy”.

Redakcja

Odnaczenie dla naszej redakcyjnej koleżanki



Miło nam zakomunikować, iż nasza redakcyjna koleżanka p. Alicja Kocan z Warszawy, w trakcie obchodów XXXV-lecia Stołecznego Oddziału TMLiKPW odznaczona została medalem "Lwowski Krzyż Kresowy". Jest to nowe odznaczenie uchwalone przez Zarząd Główny z okazji XXXV-lecia Towarzystwa i przyznawane jest najbardziej zasłużonym członkom Towarzystwa, po de facto jednym, ew. kilku medalom, na oddział czy klub (w Oddziale Stołecznym było odznaczonych 5 osób: Alicja Kocan, Genowefa Dyląg, Danuta Szydłowska, oraz znani nam Podolanie: Stefania Pagórska i Józef Kaszczyszyn).

Alicja Kocan i jej rodzina pochodzi z Podwołoczysk nad Zbruczem. W 1989 r. wstępuje do nowopowstałego TMLiKPW Oddział Stołeczny², w którego to działalność jest cały czas zaangażowana. Ciężko wymienić jest wszystkie zasługi p. Ali. Przez szereg kadencji jest członkiem zarządu stołecznego oddziału (była też członkiem komisji rewizyjnej), obecnie pełni w nim funkcję sekretarza. Jest kronika-

²Oddział powstał 17 grudnia 1988 roku i nazywał się Towarzystwo Miłośników Lwowa, dodatek KPW dodano kilka lat później – przyp.red.

rzem oddziału - prowadzi własnoręcznie wykonaną kronikę, w którą to wpisuje nie tylko wszystkie zdarzenia i wydarzenia z historii oddziału, ale także i wpisują się w nią słynni Kresowianie, czy zamieszczane są ważne dla Kresów wydarzenia współczesne. Pani Ala zajmuje się także "łącnością" ze starszymi i schorowanymi członkami, była także łącznikiem oddziału z klubem „Podole” (obecnie członkowie Klubu Podole są bezpośrednio członkami O/S TMLiKPW), wreszcie jest członkiem redakcji Lwowskiego Biuletynu Informacyjnego i autorką szeregu artykułów nie tylko do niego, ale także do innych czasopism.

Jest także, od 2021, czyli do momentu uformowania nowego składu redakcji, członkinią kolegium redakcyjnego "Głosów Podolan" i także autorką artykułów publikowanych na naszych łamach. Brała aktywny udział przy formalnościach z przekazaniem tytułu do Poznania. Prywatnie jest osobą bardzo ciepłą, uczynną i w pełni oddaną sprawie Kresów.

Naszej redakcyjnej koleżance Alicji serdecznie gratulujemy, gdyż także w naszej ocenie w pełni zasługuje na to odznaczenie.

W imieniu zespołu redakcyjnego
Igor Megger - Redaktor Naczelny



Redakcja

Aktualności z Podola oraz z życia Podolan w kraju

Hasło krzyżówki z poprzedniego numeru brzmi: **Miodobory**. Nagroda wędruje do Pana Wojciecha Badyłaka z Kędzierzyna-Koźła - Gratulujemy! Miodobory lub inaczej Toutry jest to silnie rozczłonkowane pasmo wapiennych wzgórz, przecinających Wyżynę Podolską z północnego zachodu na południowy wschód. Rozciąga się na długości ponad 200 km, szerokość wynosi około 5 km. Wysokość bezwzględna 350-400 m (kulminacja 430 m n.p.m.), względna 50-100 m. Przebiegają od Podkamienia przez Zbaraż, Skałat, Kamieniec Podolski do Stefanowiec nad Prutem. Są pozostałością rafy barierowej pradawnego Morza Sarmackiego. Ich południowo-zachodnie stoki są strome, północno-wschodnie – łagodne. Występują w nich zjawiska krasowe. Ich grzbiety i zbocza pokrywają lasy, złożone z dębów, grabów, leszczyn, dzikich grusz, czereśni. Artykuł o przyrodniczym pięknie i wyjątkowości tego pasma zamieścimy w jednym z kolejnych numerów naszego biuletynu.

Zarząd poznańskiego oddziału TMLiKPW przypomina, iż 15 kwietnia upływa termin zgłaszania kandydatur do przyznawanej przez ten oddział statuetki „**Semper Fidelis**”. Statuetkę tę przyznawaną od 2007 roku otrzymują osoby szczególnie zasłużone dla ratowania dziedzictwa narodowego Kresów, upamiętniania miejsc pamięci narodowej czy niesienia pomocy Polakom i ich potomkom na wschodzie. Zgłoszenia mogą składać osoby prywatne jak i instytucje, towarzystwa, oddziały TMLiKPW, itd. Zgłoszenia prosimy kierować na adres podany w naszej stopce redakcyjnej. Szczegółowych informacji udziela sekretarz Oddziału, Wanda Butowska, tel. 508 395 836.

Zarząd Oddziału informuje także, iż nastąpiła zmiana daty **Walnego Zebrania** członków oddziału – odbędzie się ono w naszym biurze 6 marca (środa), o godz. 17.00.

Zamieszczamy także na naszych łamach ogłoszenie naszego stałego czytelnika Czortkowiec p. Tadeusza z Wrocławia o zamiarze sprzedania 11 tomów (komplet) dzieła pt. **"Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej"** opublikowanego w latach 1991–1997 przez Ossolineum, autorstwa Romana Aftanazego (1914-2004) - lwowianina, historyka, bibliotekarza i wieloletniego kustosa Ossolineum. Wydanie opisuje historię polskich pałaców i dworów oraz ich właścicieli na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej w jej granicach sprzed 1772. Stan bardzo dobry, cena 4200 zł do ew. negocjacji. Pan Tadeusz prosi o kontakt SMS-em na tel. 508-149-909 odpowiedzi będą telefonicznie do czasu sprzedania.



W ostatnim czasie nasze ziemskie szeregi opuścili następujący zasłużeni Podolanie:

mjr Stanisław Marian Kral-Leszczyński ps. „Henryk” - urodzony 7 stycznia 1923 roku w Tarnopolu, od 1929 roku mieszkał w Białymstoku. Od lutego 1942 roku żołnierz Armii Krajowej na Placówce Bojary w Obwodzie AK Białystok Miasto, następnie oddelegowany do służby w Biurze Informacji i Propagandy Komendy Obwodu.

W kwietniu 1944 roku przeniesiony do Warszawy i wcielony w stopniu kaprała podchorążego do Kompanii „K-2” Batalionu „Karpaty Pułku AK „Baszta”. Uczestnik Powstania Warszawskiego, dwukrotnie ranny podczas walk na Mokotowie. Działacz kombatancki, uhonorowany Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Armii Krajowej, Warszawskim Krzyżem Po-

wstańczym oraz innymi odznaczeniami. Zmarł w wieku 100 lat 13 listopada 2023 r.

ks. Bronisław Baranowski - kanonik honorowy Lwowskiej Kapituły Metropolitalnej, wieloletni spowiednik lwowski, którego to jubileusz opisaliśmy w 157 numerze "Głosów Podolan" z 2022 r. zmarł 14 listopada we Lwowie w wieku 85 lat. Urodził się 19 maja 1938 roku w Komargrodzie koło Tomaszpola, w obwodzie winnickim. Od 1957 roku był uczniem, a następnie najbliższym współpracownikiem księdza doktora Henryka Mosinga. Święcenia kapłańskie otrzymał 7 lipca 1979 roku w Lubaczowie. W latach 1979-1994 był spowiednikiem na Podolu, gdzie działalność duszpasterska była bardzo niebezpieczna. Od 1998 do 2002 roku był spowiednikiem w Wyższym Seminarium Duchownym we Lwowie. W latach 2002-2005 pełnił funkcję wikariusza w parafii pw. Św. Marii Magdaleny we Lwowie. Wraz ze wspólnotą parafialną aktywnie włączył się do akcji zwrotu kościoła św. Marii Magdaleny we Lwowie. Od 2010 roku – kanonik honorowy Kapituły Metropolitalnej we Lwowie, a od 2015 roku pełnił funkcję spowiednika w Katedrze Lwowskiej.

Adam Chłopek - wybitny działacz pedagogiczny, twórca struktur nauczania języka polskiego na współczesnej Ukrainie, którego znaną sylwetkę opisaliśmy w 162 numerze „Głosów”, odszedł 11 stycznia br. w rodzinnym Drohobyczu w niecały miesiąc po otrzymaniu statuetki „Semper Fidelis”.

Cześć ich Pamięci!

Paniom Bożenie Łączkowskiej i Katarzynie Kwineckiej
Najgłębsze wyrazy współczucia
Z powodu śmierci Męża i Ojca
Profesora Wojciecha Łączkowskiego
Składa Zarząd i Przyjaciele z Poznańskiego Oddziału TMLiKPW

Igor Megger
Poznań

Śp. Wilhelm Cezary Żyromski



Z głębokim smutkiem zawiadamiamy iż 2 stycznia 2024r., po długiej i ciężkiej chorobie odszedł od nas Cezary Żyromski - Podolanin, wielki przyjaciel redakcji naszych „Głósów Podolan” i jej wieloletni korektor. W naszej pamięci na długo pozostanie jako nasz serdeczny przyjaciel i niesamowity gawędziarz.

Wilhelm Cezary Żyromski urodził się 22 listopada 1938 roku w Monasterzyskach, pow. Buczacz. Po zakończeniu wojny w ramach "repatriacji" trafił do Koźła na Opolszczyźnie, gdzie ukończył szkołę średnią. Całą swoją karierę zawodową związał z dziennikarstwem. Rozpoczął ją jeszcze w latach 50. XX w. czasopiśmie studenckich, później był wieloletnim dziennikarzem wrocławskiego „Słowa Polskiego”, natomiast w ostatnich kilkunastu latach przed przejściem na emeryturę (w 2000 r.) pełnił funkcję sekretarza redakcji i członka kolegium redakcyjnego tego dziennika.

W ramach współpracy Zrzeszenia Studentów Polskich i SDP działał w Studenckiej Wszechnicy Dziennikarskiej. Od roku 1981 działał w Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym Dziennikarzy (był też jego członkiem założycielem). W roku 1985 był wśród członków założycieli Zarządu Dolnośląskiego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Węgierskiej (był jego sekretarzem do roku 1995), ściśle współpracującym z Polskim Stowarzyszeniem Kulturalnym im. Józefa Bema w Budapeszcie. Aktywność na tym polu zaowocowała wydaniem z jego inicjatywy i pod jego redakcją monogra-

ficznego numeru kwartalnika „Kultura Dolnośląska” (w 1986) poświęconego kulturalnym, społecznym i historycznym związkom Polski z Węgrami.

Śp. C. Żyromski był aktywnym działaczem stowarzyszeń dziennikarskich: Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, od 1982 Stowarzyszenia Dziennikarzy RP, w którym w latach 1992–1995 był członkiem zarządu oddziału dolnośląskiego, a w latach 1997–2001 – sędzią Naczelnego Sądu Dziennikarskiego Syndykatu Dziennikarzy Polskich. W latach 2005–2009 redagował witrynę SD RP Dolny Śląsk.

Od roku 1990 do 2007 był członkiem zarządu Spółdzielni Pracy „Słowo Polskie” (od roku 2003 pełnił w niej społecznie funkcję wiceprezesa), której celem było tworzenie miejsc pracy dziennikarzom i pracownikom redakcji, pozostającym bez innego zatrudnienia wskutek przekształceń własnościowych gazet dawnej RSW Prasa.

Był laureatem II nagrody zespołowej Towarzystwa Miłośników Wrocławia i Ossolineum w Plebiscycie Czytelniczym Dolnośląska Książka Roku za „Konfrontacje Literackie”; otrzymał również (w roku 2015) tytuł „Dziennikarza na med(i)al”. Wyróżniony został również (dwa razy) nagrodą Klubu Dziennikarzy Depeszo- wych „za szczególne wartości merytoryczne i graficzne stron informacyjnych «Słowa Polskiego»”.

Kolega Cezary był także aktywnym członkiem oddziału "Buczacz" naszego Towarzystwa. Do pracy w nim został "wciągnięty" przez swojego kuzyna Zbyszka³, gdzie odpowiadał za techniczną stronę czasopisma "Głosy Buczaczan", oraz za gromadzenie materiałów. Udało mu się także wciągnąć do towarzystwa swojego syna i synową, którzy także brali udział przy pracach przy biuletynie.

Cezarego (dość szybko przeszliśmy na "ty") poznałem na przełomie 2019/2020, kiedy to p. Kotowicz zwróciła się do mnie o pomoc przy redagowaniu biuletynu. Przedstawiony on został jako

³Nekrolog i wspomnienie Zbigniewa Żyromskiego znajduje się w 152 numerze "Głosów" z 2021 r.

osoba do pomocy z korektą i załatwieniem druku "Głosów", który także zgłosił się na ochotnika, by jej w tym dziele pomóc.

Nasza współpraca trwała kilka lat, aż do prawie całkowitej utraty wzroku przez kol. Cezarego. Z pełnym oddaniem zajmował się korektą artykułów do zamieszczenia, jak i korektą końcową. Zajmował się także uzgodnieniem wszystkich zagadnień drukarskich, a także kolportował numery wśród wrocławskich czytelników. Zdając sobie sprawę z powagi stanu swojego stanu zdrowia, wprowadził mnie w pełnione przez siebie zadania, by przy pogorszeniu jego stanu, redakcja nie miała problemów z prowadzonymi w całości przez niego sprawami technicznymi. Dzięki temu, po utracie przez niego wzroku, nie miałem problemu z przejęciem jego obowiązków, oraz w przekazaniu ich jego następcy.

Ta kilkuletnia współpraca przebiegała bezproblemowo, Cezary wykazywał się dużą inicjatywą i chęcią – pomimo wszelakich nieszczęść, które go spotykały. Był przy tym bardzo dobrym kolegą, dobrym słuchaczem, jak i bardzo dobrym gawędziarzem – o czym mogę osobiście zaświadczyć, gdyż rozmawialiśmy prawie codziennie.

Cezary Żyromski na długo pozostanie w naszej - redakcyjnej - wdzięcznej pamięci.

Igor Megger, Redaktor Naczelny „Głosów Podolan”

Redakcja „Głosów Podolan”

Zachęca czytelników do nadsyłania materiałów do publikacji na naszych łamach. Szczególnie zachęcamy do nadsyłania materiałów nigdy niepublikowanych w tym:

- wspomnień osobistych - refleksji - komentarzy
- wspomnień pośmiertnych - recenzji książek
- prezentacji swoich klubów/oddziałów/stowarzyszeń

Materiały najlepiej przysyłać drogą elektroniczną

E-mail: igor_mode@wp.pl

bądź pocztą tradycyjną na adres:

*Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Oddział Poznań*

„CK Zamek”, ul. św. Marcin 80/82 p.336 61-809 Poznań

Z dopiskiem „Redakcja Głosów Podolan”

Igor Megger
Poznań

Mila Sandberg-Mesner - wspomnienie



W zeszłym numerze "Głosów Podolan" poinformowaliśmy Państwa o śmierci p. Mili Sandberg-Mesner z kanadyjskiego Montrealu, naszej wieloletniej czytelniczce i autorce tekstów. W związku, iż informacja o jej śmierci dotarła do nas w momencie kiedy numer już szykowaliśmy do druku, zamieściliśmy tylko planowany artykuł p. Fedorowicz z Salzburga – artykuł, który to miał być dla niej niespodzianką - niestety stał się artykułem

żałobnym. W niniejszym artykule pragniemy przybliżyć Państwu jej postać i jej losy przez długie - bo blisko 100 letnie życie.

Amalia (Mila) Mesner zd. Sandberg urodziła się 22 listopada 1923 w Zaleszczykach w woj. Tarnopolskim. Rodzina Sandbergów posiadała pod Zaleszczykami młyn wybudowany przez ojca Mili, Zygmunta, oraz była znana ze swej działalności charytatywnej. Kres spokojnemu życiu przyniósł wybuch wojny, a szczególnie wkroczenie Niemców w lipcu 1941 r.

W 1940 Rodzina Sandbergów, w obawie zesłania na Sybir, przenosi się do Kołomyi, w pierw do samego miasta, by później w 1941 r. zostać wysiedlonym przez Niemców do tamtejszego getta. Jak wspominała p. Mila, warunki panujące w getcie były ciężkie, nawet w porównaniu do innych gett. Szczególnie doskwierał głód, ludzie masowo umierali z niedożywienia. Rodzina Sandbergów była stale głodna, lecz na ich szczęście dzięki majątkowi, który mogła wyprzedawać oraz dzięki pomocy sąsiada z Kołomyi, przyjaciela rodziny, Albina Tylla udawało jej się przetrwać.

Niestety przyszedł dzień likwidacji getta. 10 października 1942 r. wszystkich jego mieszkańców załadowano do wagonów i skierowano do obozu zagłady w Belżcu. W jadącym wagonie zapadła decyzja - uciekać! Rodzice odmówili - ze względu na wiek i na semicki wygląd stanowiliby tylko ciężar dla reszty. Z pociągu wyskoczyły trzy osoby: Mila, jej starsza siostra Lola i jej kuzynka Jasia.

Mając w pamięci słowa rodziców oraz własne spostrzeżenia skontaktowały się z Albinem, który to nie odmówił im pomocy. Pomógł, za pośrednictwem kołomyjskiego proboszcza ks. Peciaka, zorganizować metryki chrztu, oraz załatwił mieszkanie i prace. Oficjalnie Lola figurowała jako żona Albina, Mila jako jej kuzynka, a Jasia jako ich służąca. Z różnymi przygodami udało się całej czwórce dotrzeć do wkroczenia Sowietów i powrócić do Zaleszczyk.

W Zaleszczykach udało się Mili wrócić do własnego mieszkania, jednakże wobec zagrożenia, jakie tym razem groziło Albinowi (był Niemcem), postanowili wyjechać na Zachód. Wpierw trafili do Rumunii, skąd Albin wyjechał do Ameryki Południowej, Lola trafiła do Izraela, a Mila i Jasia do Kanady.

W 1946 roku Mila Sandberg wzięła ślub z Izydorem (Iziem) Mesnerem, także ocalałym z zagłady, z którym to przeżyła wspólnie ponad 75 lat. Z Rumunii przez Brazylię, Paragwaj i Urugwaj, w 1949 roku trafiła do Kanady, gdzie pracowała w Montrealskim muzeum sztuki.

Od lat 90 XX w. po przejściu na emeryturę, u p. Milli zaczęła się refleksja nad swoimi przeżyciami, jak i pojawiła się chęć ich udokumentowania. Została aktywnym członkiem montrealskiego oddziału Kanadyjskiej Fundacji Dziedzictwa Polsko-Żydowskiego, w której sprawowała funkcje skarbnika i członka zarządu. W roku okazała się jej książka "Światło w mroku" zawierająca jej wspomnienia, która to została przetłumaczona na kilka języków (wydanie polskie 2015 r.)⁴.

⁴Całość książki opublikowaliśmy na swoich łamach w numerach 140-148 "Głosów Podolan" w latach 2017-2018.

W roku 2012 odwiedziła Zaleszczyki, gdzie dzięki między innymi jej staraniom odsłonięto pomnik poświęcony zgładzonym zaleszczyckim Żydom. Marzeniem p. Milli było upamiętnienie osób, które uratowały jej życie, czyli Albina Tylla i ks. Ludwika Peciaka. Udało się jej tego dokonać w stosunku do pierwszej postaci. W 2013 roku Albin Tyll, pośmiertnie odznaczony został medalem "Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata".



Mila Sandberg-Mesner z późniejszym laureatem literackiej Nagrody Nobla Czesławem Miłoszem (w środku) – 1967 r.

P. Mila przez szereg lat współpracowała z naszą redakcją. Z p. Kotowicz zapoznały się, kiedy to p. Hanna Fedorowicz wysłała p. Irenie wspomnienia p. Mili do publikacji. Zastanawiały się, czy nie widziały się czasem przed wojną na ulicach Zaleszczyk, gdzie p. Kotowicz jako dziecko i nastolatka bywała.

Na naszych łamach opublikowała ona szereg artykułów: prócz wyżej wspomnianych wspomnień, opublikowaliśmy jej artykuły dotyczące miasta Zaleszczyki: mostów, baraków, muzyki czy ostatni dotyczący zaleszczyckiego ratusza. Była także współinicjatorką wydania w 2021 roku Zeszytu Specjalnego naszego biuletynu, który był w całości poświęcony jej miastu.

Mila Sandberg-Mesner zmarła 2 listopada 2023 r. trzy tygodnie przed swoimi setnymi urodzinami. Uroczystości pogrzebowe odbyły się w kanadyjskim Montrealu, gdzie do śmierci mieszkała.

Hanna Dobias-Telesińska
Poznań

Zmarł ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski

Z żalem informujemy, że **9 stycznia 2024 roku zmarł ks. Tadeusz Bohdan Isakowicz-Zaleski**, wielce zasłużony dla spraw kresowych, nieustrudzony w walce o pamięć dla ofiar Rzezi Wołyńskiej.



Ks. Isakowicz-Zaleski urodził się 7 września 1956 r. w Krakowie, w rodzinie o kresowych korzeniach. Był Ormianinem, duchownym obrządków ormiańskiego i łacińskiego, historykiem Kościoła, działaczem społecznym, wieloletnim uczestnikiem opozycji antykomunistycznej w PRL, prześladowanym przez reżim komunistyczny, pisarzem i poetą. Rodzice ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego to: Jan Zaleski filolog urodzony w Monasterzyskach koło Buczacza i Teresa z domu Isakowicz, polonistka, której rodzina pochodzi z Pokucia. Miał dwie siostry – bliźniaczki Danutę i Joannę. Ks. Isakowicz był krewnym arcybiskupa ormiańsko-katolickiego Lwowa – Izaaka Mikołaja Isakowicza. Jeszcze w okresie szkoły średniej Tadeusz Isakowicz-Zaleski związał się z ruchem oazowym. Po maturze wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego w Krakowie.

W 1975 r. jako kleryk został powołany do odbycia służby wojskowej w Brzegu. Pod koniec lat 70., jeszcze jako student współredagował podziemne pismo „Krzyż Nowohucki” oraz działał

w Studenckim Komitecie Solidarności. W 1977 r. debiutował jako poeta na łamach Tygodnika Powszechnego. Od 1980 r. zaangażował się w działalność NSZZ Solidarność. Uczęszczał na seminarium prowadzone przez historyka Kościoła ks. prof. Bolesława Kumora, pod którego kierunkiem napisał pracę magisterską. W latach 1981–1983 odbywał praktyki diakonatu w parafii w Chorzowie, Rajczy i Krakowie-Woli Justowskiej. Świecenia kapłańskie z rąk kardynała Franciszka Macharskiego otrzymał 22 maja 1983 r. w Katedrze Wawelskiej. Po uzyskaniu święceń kapłańskich skierowany został na studia do Papieskiego Kolegium Ormiańskiego w Rzymie, co trzykrotnie utrudniała mu SB odmawiając wydanie paszportu. W latach 80. był represjonowany przez Służbę Bezpieczeństwa, w 1985 r. został dwukrotnie ciężko pobity przez funkcjonariuszy SB: w Wielką Sobotę w rodzinnej kamienicy przy ul. Zyblikiewicza i 4 grudnia w klasztorze Córek Bożej Miłości w Woli Justowskiej przez funkcjonariuszy SB przebranych za sanitariuszy pogotowia ratunkowego. Jego prześladowania przez SB stały się kanwą filmu Macieja Gawlikowskiego „Zastraszyc księdza”.

Ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski był człowiekiem bardzo wrażliwym na los drugiego człowieka, z wielkim poczuciem sprawiedliwości i prawdy. Był prezesem Fundacji im. Brata Alberta w Radwanowicach, duszpasterzem osób niepełnosprawnych, Kresowianinem. W ramach Fundacji im. Brata Alberta wspierał od połowy lat 90. XX wieku ośrodki dla dzieci niewidomych i ich rodzin, prowadzone przez Siostry Franciszki Służebniczki Krzyża w Skałacie Starym, Żytomierzu i Charkowie na Ukrainie. Od lutego 2020 zaangażowany był też w pomoc dla ukraińskich uchodźców przyjeżdżających do Polski.

Posługiwał się pseudonimami „Jacek Partyka”, „Jan Kresowiak”, „Ksiądz Robak”, jako autor książek m. in.: „Przemilczane ludobójstwo na Kresach” – 2008 r., „Jan Zaleski – Kronika życia” – 2010 r., „Personalnik subiektywny” – 2013 r., „Żywa historia” – 2016 r., i „Franciszek od Brata Alberta” – 2018 r.

Ks. Isakowicz-Zaleski był aktywnym działaczem środowiska ormiańskiego i popularyzatorem wiedzy o historii i kulturze

Ormian, zwłaszcza Kościoła Katolickiego obrządku ormiańskiego. Zainicjował zbliżenie między środowiskami tzw. starej i nowej emigracji ormiańskiej. Był orędownikiem sprawy upamiętnienia ofiar ludobójstwa Ormian. Wielokrotnie brał udział w audycjach radiowych i telewizyjnych, w których przedstawiał historię narodu i Kościoła Ormiańskiego oraz problemy polskich Ormian.

Był prawdziwym orędownikiem spraw kresowych. Od lat w wystąpieniach w mediach apelował o potępienie przez władze ludobójstwa na Wołyniu i Małopolsce Wschodniej dokonanego przez OUN-UPA i o upamiętnienie ofiar tych zbrodni. 1 lipca 2009 r. zorganizował protest przeciwko nadaniu doktoratu h.c. przez KUL Wiktorowi Juszczence. Jego działania udaremniły przejazd przez Polskę „Rajdu Bandery”, w 2010 r. współorganizował protest w związku z uznaniem Bandery przez prezydenta Juszczenkę bohaterem narodowym Ukrainy. W Internecie, na swojej stronie „Rozmyślania w blogu” i na Twitterze komentował na bieżąco zdarzenia związane z historią Kresów, jak i dniem dzisiejszym Polski i Ukrainy.

Za swe poglądy, otwartość i działalność atakowany był z wielu stron, także ze strony władz kościelnych.

Jego działalność uhonorowana została licznymi wyróżnieniami, m.in.: Order Uśmiechu (1997 r.), Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski (2006 r.), Nagroda Literacka im. Józefa Mackiewicza za książkę „Księża wobec bezpieki na przykładzie Archidiecezji Krakowskiej” oraz Nagroda Rzecznika Praw Obywatelskich im. Pawła Włodkowica za bezkompromisowe dążenie do prawdy, w 2007 r., za pracę na rzecz osób niepełnosprawnych otrzymał w 2008 r. Nagrodę Łodolamacze, a w 2010 r. nagrodę Kustosza Pamięci Narodowej. Był Honorowym Obywatelom dziewięciu miast m.in. Lwowa, Stanisławowa, Krakowa, Zielonej Góry, Sandomierza, Sanoka i kilku gmin.

W 2018 r. poznański Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich wyróżnił ks. Isakowicza-Zaleskiego statuetką lwa „Semper Fidelis” za wyjątkowo skuteczną i owocną działalność na rzecz pamięci o Kresach, a w szcze-

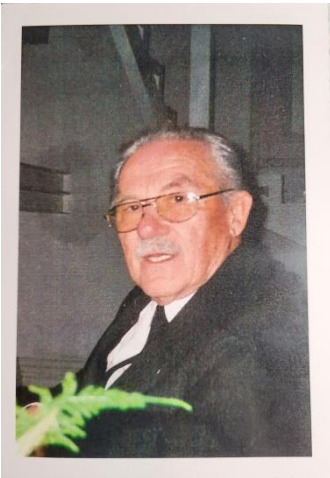
gólności upamiętnienia ofiar bestialskiego ludobójstwa dokonanego na mieszkańcach tych ziem przez banderowców.

Kazimierz Niemierka – przyjaciel

Piotr Kruczkowski – syn

mgr Jan Kruczkowski

(1929-2023)



Ostatnio wałbrzyska kultura fizyczna, a zwłaszcza jej wychowanie fizyczne i sport szkolny poniosły ogromnie bolesną stratę. W dniu 26 października 2023 roku, w wieku 94 lat zmarł mgr Jan Kruczkowski, długoletni nauczyciel wychowania fizycznego, a później wicedyrektor Zasadniczej Szkoły Górniczej kopalni „Thorez”.

Urodzony w 1929 roku w Czortkowie na Ziemi Tarnopolskiej, przesiedlony po wojnie do Wałbrzycha. W 1951 roku rozpoczął studia w Wyższej Szkole

Wychowania Fizycznego we Wrocławiu będąc wzorowym studentem. Po ukończeniu studiów w 1953 roku podjął pracę nauczyciela wf w Thorezowskiej ZSG. W placówce tej niezmiennie przepracował 35 lat, z czego ostatecznie 8 lat jako wicedyrektor ds. pedagogicznych oraz nauczyciel przysposobienia obronnego.

Śp. Jan Kruczkowski to ikona nauczycieli wf i szkolnej pedagogiki, nie tylko wałbrzyskiej, ale w całym byłym Ministerstwie Górnictwa i Energetyki.

Wśród ponad 100 szkół górniczych w Polsce, jego szkoła stale należała do najbardziej usportowionych. Cztery niewielkie Szkoły Górnicze z Wałbrzycha skupione w Dolnośląskim Zjednoczeniu Przemysłu Węglowego w Wałbrzychu „lały” ekipy takich potęg Zjednoczeniowych, jak Katowice, Zabrze, Sosnowiec, By-

tom, Jaworzno, Rybnik i innych. W tej zacieklej rywalizacji budziło to zazdrość, ale i podziw wśród rywali. Sukcesy i medalowe zwycięstwa wałbrzyskich szkół ZSG „Victoria” Boguszków, ZSG „Thorez”, ZSG „Wałbrzych”, ZSG „Nowa Ruda”, ZS Dś. Zakł. Naprawczych Wałbrzych, Technikum Górnicze Wałbrzych były stawiane za wzór w resorcie górnictwa.

Jan Kruczkowski, własną pracą wraz z uczniami, przy swojej szkole przy ul. Przywodnej 1, urządził piękny przyszkolny stadion, który posiadał nawet bieżnię, skocznię i mini boiska do gier.

Gdy w 1963 roku Zjednoczenie Wałbrzyskiego Przemysłu Węglowego powołało pierwszy w resorcie Ośrodek Sportowy Szkół Górniczych, przemianowany wkrótce na Międzyszkolny Górniczy Klub Sportowy „Wałbrzych”, Kruczkowskiemu powierzono funkcję Zastępcy Kierownika MGKS ds. sportowych. Do pracy, oprócz nauczycieli macierzystych, przyjęto z wałbrzyskich klubów sportowych najlepszych trenerów z różnych dyscyplin. Wtedy sukcesy wałbrzyszan jeszcze bardziej wzrosły.

Z górniczych szkół wałbrzyskich wyrosli olimpijczycy, mistrzowie Polski i liczni kadrowicze w lekkiej atletyce, koszykówce, zapasach, siatkówce i piłce nożnej (I liga) i innych dyscyplinach.

Ponadto Jan Kruczkowski został mianowany przez władze AWF Wrocław pełnomocnikiem uczelni ds. praktyk studenckich w szkołach. Kuratorium Oświaty powierzyło mu hospitacje zajęć wf w szkołach zawodowych województwa wrocławskiego.

Dzisiaj już nie ma tych szkół, nie ma wałbrzyskich kopalń, ale są jego wychowankowie, którzy do ostatnich dni odwiedzali swego nauczyciela i wychowawcę, pozdrawiali, życzyli zdrowia i mówili, że dzięki niemu „wyszli na ludzi”. To chyba największe słowa uznania, jaki może otrzymać pedagog.

Jan Kruczkowski był wielokrotnie nagradzany m.in. Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski „Polonia Restituta”, Medalem Edukacji Narodowej. W szkole uwielbiany przez młodzież. Bardzo kulturalny w obyciu. Gorący patriota, aktywny w Stowarzyszeniu Drohobyczan i Borysławiaków.

Na emeryturę odszedł w 1988 roku. Ale nadal był bardzo aktywny.

W 2006 roku wybitny reżyser teatralny Jan Klata w dramacie "Transfer" opisującym powojenne dramatyczne losy przesiedleńców Niemców i Polaków zatrudnił Jana Kruczkowskiego, autentycznego przesiedleńca z Kresów Południowych w gronie aktorów polskich i niemieckich. Grał tam siebie samego, młodego chłopaka, który urodził się w Czortkowie na Podolu i był świadkiem i uczestnikiem wielkiej i bardzo skomplikowanej historii. Z teatrem odwiedził całą Europę, był w Moskwie, w Berlinie i w Paryżu i w wielu miastach Europy i Polski.

Druga jego aktywność związana jest z pisaniem wspomnień. Za pracę „Wspomnienia czortkowskie” otrzymał nagrodę Ossolinium. Opisał historię rodziny Kruczkowskich, opisał swoje wspomnienia związane z teatrem.

Był autorem kilku artykułów zamieszczonych w „Głosie Podolan”, które były oparte na listach emigrantów z Czortkowa.

Będzie żył w naszej pamięci.

Od redakcji: Ubywa niestety z naszego grona naszych krajan Czortkowiec. Rodzina Kruczkowskich mieszkała na tzw. Dolnej Wygnance przy ul. Kolejowej. J. Kruczkowski miał dwóch braci i cztery siostry. Jakże polskie są losy jego rodzeństwa, które na naszych łamach opisał:

„Najstarszy brat, aresztowany przez NKWD, przeżył Kołymę, walczył w Armii Andersa. Dziś mieszka w Anglii. Drugi brat, mając 18 lat, wstąpił jako ochotnik do Wojska Polskiego. Zginął na Wale Pomorskim mając niespełna 19 lat. Pierwsza siostra wyszła za mąż za kuriera. Spędziła z nim noc poślubną i zaraz potem mąż zginął przeprowadzając ludzi przez zieloną granicę. Druga siostra wyszła za mąż za oficera, który bronił Warszawy, a po kapitulacji przebywał w oflagu. Spotkali się ponownie dopiero po wojnie. Trzecia siostra zmobilizowana została w Czortkowie do II Armii WP. Czwarta, uciekając przed wywózką na roboty do Niemiec, ukryła się w klasztorze, po

czym wstąpiła do zakonu⁵. Tylko ja, będąc najmłodszym w rodzinie, byłem wolny jak ptak i nie straszna mi była wojna”.

Z racji swojego miejsca urodzenia był zakochany w swoim mieście. Był także naszym wieloletnim prenumeratorem, na naszych łamach (w numerach 141-145 z 2017 r.) opublikował cykl swojej korespondencji m.in. z innym Czortkowieńcem, znanym doskonale naszym starszym stażem czytelnikom, ŚP. Janem Dobruckim z Kanady.

Jak wspomnieli powyżej autorzy wspomnienia, zamilowaniem Śp. Jana Kruczkowskiego był teatr, w którym to amatorsko na emeryturze występował. Jednym z takich przedstawień był szeroko komentowany spektakl „Transfer” z 2006 r. którego recenzje – opis zamieszczamy poniżej.

Pawłowski Roman
Wysocki Tomasz

Mój Transfer **(Fragmenty)**

Przedruk z Gazeta Wyborcza - Wrocław nr 264/13.11.06 - dodatek Duży Format

Reżyser Jan Klata przygotowuje we Wrocławiu dokumentalne przedstawienie o wypędzeniach "Transfer!". O swoim doświadczeniu utraty ojczyzny będą mówić ze sceny sami wypędzeni: Niemcy wysiedleni z ziem zachodnich i Polacy przesiedleni z Kresów Wschodnich. Z reżyserem i świadkami-wypędzonymi rozmawiali Roman Pawłowski i Tomasz Wysocki z Gazety Wyborczej.

Ideę spektaklu o powojennych przesiedleniach wymyśliła Krystyna Meissner, dyrektor Teatru Współczesnego. Polsko-niemiecka ekipa realizatorów pod kierunkiem reżysera Jana Klata przez rok zbierała relacje świadków i uczestników wydarzeń sprzed

⁵Wspomnienie s. Teresy – Marii Kruczkowskiej zamieściliśmy w 153 i 157 numerze „Głosów”

pół wieku, kiedy w wyniku II Wojny Światowej przesiedlonych zostało wiele milionów mieszkańców Europy Środkowo-Wschodniej. Wybrano dziesięć osób, które wezmą udział w przedstawieniu. Ich autentyczne historie zostaną zderzone z teatralnym obrazem konferencji w Jałcie, na której Stalin, Churchill i Roosevelt zdecydowali o podziale Europy. Po raz pierwszy przedstawiamy szóstkę uczestników, którzy zgodzili się opowiedzieć historię swojego "Transferu".

Jan Kruczkowski: Sześć świadectw

Z czasów okupacji Jan Kruczkowski, 77-letni emerytowany nauczyciel z Wałbrzycha, zachował sześć świadectw szkolnych w czterech językach. Wszystkie otrzymał w Męskiej Szkole Powszechnej w Czortkowie na Podolu, nad rumuńską granicą, gdzie się urodził w 1929 roku.

Pierwsze świadectwo jest po polsku, zaświadcza o ukończeniu trzech klas szkoły powszechnej, wydane jeszcze przed wojną.

Drugie świadectwo jest po polsku i ukraińsku. - Sowieci, którzy weszli do Czortkowa we wrześniu 1939 r., cofnęli mnie z powrotem do trzeciej klasy, bo twierdzili, że w polskiej szkole był niski poziom nauczania - opowiada Kruczkowski.

Klasę piątą i szóstą zaliczył po wejściu Niemców, trzecie świadectwo jest po polsku i niemiecku.

Betragen - zachowanie – sehrgut - bardzo dobrze,

Religion - religia – sehrgut - bardzo dobrze,

Polnische Sprache - polski – sehrgut - bardzo dobrze.

Na pieczęci napis: Generalgouvernement - Generalne Gubernatorstwo.

Po szóstej klasie uczeń Kruczkowski zapisał się na tajne nauczanie, gdzie skończył pierwszą gimnazjalną. Tu dostał swoje czwarte świadectwo, po polsku.

Kiedy w 1944 roku znów weszli Rosjanie, poszedł do siódmej klasy w szkole rosyjskiej z polskim językiem nauczania i dostał świadectwo numer pięć - po ukraińsku i po polsku.

Do ósmej klasy już nie poszedł, nadszedł rok 1945 i były ważniejsze sprawy. Miał 17 lat i dostał pracę w Urzędzie Repatriacyjnym. Zamiast do szkoły, chodził na rampę kolejową, pomagał przy organizacji wyjazdów. Pamięta płacz, kiedy pociąg ruszał ze stacji.

- My długo zwlekaliśmy z wyjazdem, po cichu liczyliśmy, że może Czortków wróci do Polski - mówi Kruczkowski.

Tymczasem w miasteczku było coraz więcej Rosjan. Organizowali zabawy, ale Polacy je bojkutowali. Z rozrywek pozostało tylko kino, w którym leciały same radzieckie filmy. "Tęcza" według powieści Wandy Wasilewskiej i komedia "Świat się śmieje". Ten ostatni film Kruczkowski widział siedem razy.

Czekali do marca 1946 r., wreszcie przedostatnim transportem wyjechali. Z ostatniego dnia Kruczkowski pamięta każdą minutę.

- Jeszcze leżał śnieg na polach, drzewa bezlistne. Podole, wie pan, to piękna kraina, ale wtedy wszystko wyglądało smutno. Kościół już był na głucho zamknięty, nie było się gdzie pomodlić, na cmentarz jeszcze poleciliśmy, pożegnać się z bliskimi i do pociągu.

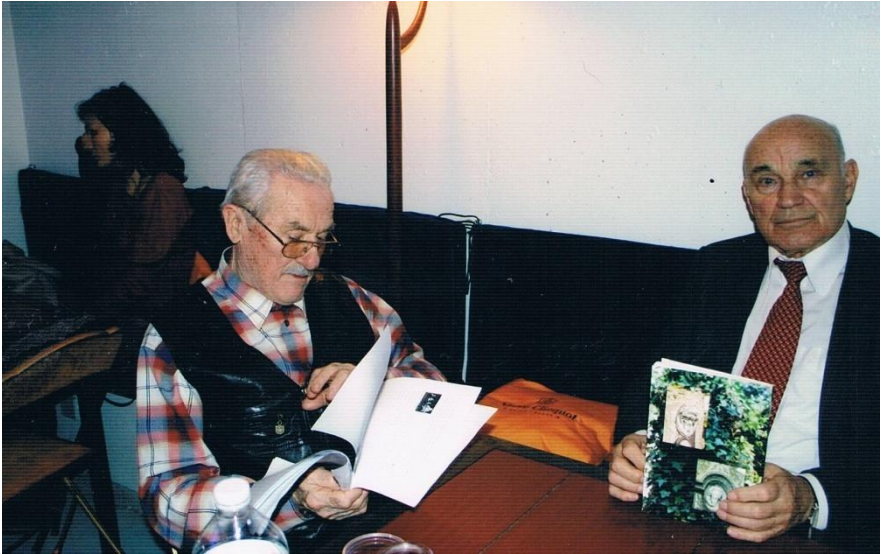
Kruczkowskim przysługiwało pół wagonu, bo syn pracował w Urzędzie Repatriacyjnym. I tak się ledwo pomieścili z rzeczami. Osiedli na Opolszczyźnie w mieście, które za Niemca nazywało się Kreuzburg, a potem Kluczbork. Mieszkali u siostry, która wyjechała przed nimi i zajęła trzypokojowe mieszkanie.

Od Czortkowa dzieliły ich nie tylko setki kilometrów, ale i różnice cywilizacyjne. Miasto nie było zniszczone, tylko kilka wypalonych kamienic. Duże domy, oświetlone ulice, w mieszkaniach prąd, gaz i bieżąca woda. Nie mogli uwierzyć, że odkręcą kran i popłynie z niego woda.

W Kluczborku Kruczkowski poszedł do liceum. - Kiedy pokazałem dyrektorowi te moje okupacyjne świadectwa, złapał się za głowę: "Człowieku, tu wszędzie UB, schowaj to!". Ale mnie przyjął. Za wiele się w tych szkołach nie nauczyłem, wszystkiego po

trochu - zdrastwuj, guten morgen. A tu francuski, łacina, matematyka na wysokim poziomie. Strasznie trudno było, ale nadrobiłem.

Szóste świadectwo Jana Kruczkowskiego jest po polsku. To świadectwo maturalne.



Sp. Jan Kruczkowski (z lewej) ze Zdzisławem Kuźniarem – znanym aktorem teatralnym i filmowym, w czasie prób do jednego z spektakli.

Do Czortkowa Kruczkowski wrócił pół wieku później.

- Chodziłem po mieście od rana do wieczora, a to jest to drzewo, to jest ten zaułek, tu był taki sklep, tu się bawiłem, tutaj okno wybiłem.

Najtrudniej było, kiedy poszedł zobaczyć swój dawny dom.

- Bałem się wejść, wychodzi właściciel mocno pijany, pyta, czego chcę. Bał się, że przyjechałem po swoje. Reagował dokładnie tak, jak Polacy na Dolnym Śląsku, kiedy przyjeżdżają dawni niemieccy właściciele. Ale mój Boże, kto by chciał tam mieszkać, dom nadal nieskanalizowany, dalej ustęp na zewnątrz!

W przedstawieniu "Transfer!" Kruczkowski będzie opowiadać o wojnie widzianej oczami dziesięcioletniego dziecka. Jak bawił się drewnianymi karabinami, jak brat mu zrobił czołg zabawkę,

jak wykopał ziemiankę. Ale i o tym, jak Rosjanie w 1944 roku powiesili w miasteczku upowca. Kruczkowski pamięta: samochód ciężarowy podjechał pod szubienicę, na pace skazany i czterech żołnierzy, założyli stryczek razem, żeby nie było jednego winnego, potem samochód ruszył.

- Był w bryczesach, bez butów, miał wysokie skarpetki, a na szyi tabliczkę, że dopuścił się zbrodni na narodzie polskim. A ja, przechodząc, tknąłem go dla zabawy i on zaczął się obracać.

Od kiedy zaczęła się praca nad przedstawieniem, Kruczkowski nie może o niczym innym myśleć. - Żona mi dzisiaj powiedziała: Janek, ty się uspokój, bo ja idę do kościoła i zamiast słuchać kazania, myślę o tym, co było przed 60 laty. W nocy to samo, budzę się i wszystko mi się przypomina.

Dlaczego warto wracać do przeszłości?

- Bo nikt za nas tego nie opowie. Trzeba pamiętać. Ale nie szukać winnych. Bo to tylko prowadzi do nienawiści. My na Kresach byliśmy narażeni na ciągłe napaści. Wychowaliśmy się w kulcie wojny, dla nas Rydz-Śmigły, marszałek Piłsudski to były kultowe osoby, tak samo Kmicic czy Skrzetuski. I w śpiewie, i w rozmowach, i w bajkach rodzice i starsze rodzeństwo przez cały czas nawiązywali do wojny. Chcąc nie chcąc, nasiąkliśmy tą atmosferą. Dzisiaj jest inaczej. Na Dolnym Śląsku coraz więcej Niemców: mieszkają, prowadzą sklepy, zakłady pracy, są napisy niemieckie. Nas to czasem boli, ale taka jest rzeczywistość. W końcu po to wstąpiliśmy do zjednoczonej Europy.

Pieśni ludowe z Podola z nutami cz. V – Gdybyś była dobra żona

przedruk z: „Biblioteczka Pieśni Regionalnych nr. 12 Podole” pod redakcją Karola Hławiczki, Katowice, lata 30 XX w.

Gdybyś była dobra żona

Wolno (M. M. ♩ = 52)

Z okolic Tarnopola i Horodenki.



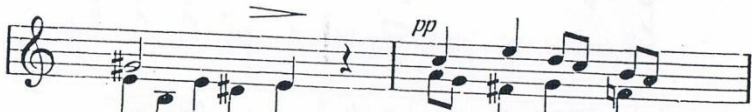
1. Gdybyś by- ła do- bra żo - na,



to- byś ty sie - dzie- ła do- ma,



Cha- ty do - głą - da - ła, pra- co -



wa - ła, Do- ła- by słu -

Do-ła by-ła-by słu- ży - ła.



ży - ła, Oj, słu - ży - ła.

2. Gdybyś była wzięła wiano, * Tobys dzisiaj była pa-
nią. * I służy byś miała, spoczywała. * Oj, dola szczęśliwa, *
Dola byłaby szczęśliwa (Oj, szczęśliwa).